



**etno
grafia
do
kieszzeni**

numer 4

głuszek, kunecka, jaworowska, kunecki

Autorzy: Michał Głuszek, Małgorzata Kunecka, Jagna Jaworowska, Daniel Kunecki
Zdjęcia: Michał Głuszek, Jagna Jaworowska, archiwa rodzin Baumillerów, Witków,
Wiktorowiczów oraz Szczerbińskich

Redakcja: Anna Chlebicka, Anna Czyżewska, Róża Rzeplińska, Michał Głuszek

Redakcja numeru: Róża Rzeplińska

Korekta: Krzysztof Smólski

Opracowanie graficzne i skład: Wojciech Mejor

Druk:

Drukarnia EFEKT oraz pracownia Sito, ul. Lubelska 30/32, 03-802 Warszawa

Wydawca:

Stowarzyszenie „Pracownia Etnograficzna” im. Witolda Dynowskiego

00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24/12

e-mail: pracowniaetnograficzna@gmail.com

www.etnograficzna.pl

Badania, na podstawie których powstały teksty zawarte w niniejszej publikacji, były prowadzone w ramach projektu „Domki fińskie – pamięć osobista, historia, współczesność” współfinansowanego przez Urząd m.st. Warszawy.

Wydanie I, Warszawa 2013

Nakład: 1000 egzemplarzy

Publikacja bezpłatna

Publikacja sfinansowana ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

 **Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego**

ISBN: 978-83-936208-4-5

etno grafia do kieszoni

Siatka niezgody	9
Michał Głuszek	
Jak dobrze mieć sąsiada	27
Małgorzata Kunecka	
Wieś w środku miasta	
Relacje mieszkańców Jazdowa z przyrodą	55
Jagna Jaworowska	
Zielone lata	73
Daniel Kunecki	



Ethnography makes us notice the world, every odd part of it. It helps us become curators of the ordinary, historians of contingency, impossible realists.¹

Ethnography is fun.

James Clifford dla „Etnografii do kieszeni”

1 „Etnografia sprawia, że zaczynamy dostrzegać świat w całej jego złożoności. Dzięki niej stajemy się kustoszami codzienności, historykami przypadkowych zdarzeń, nie-
możliwymi realistami.”

Od redakcji

Pierwsze osiedle, jakie wybudowano w powojennej Warszawie, to Jazdów. Lokalizacja kolonii 90 domków fińskich, dziś uznawana za prestiżową – na tyłach Parku Ujazdowskiego, w sąsiedztwie Łazienek Królewskich i Sejmu – wówczas podyktowana była względami praktycznymi. Śródmieście Warszawy stanowiło wielki plac budowy, na nowym osiedlu zamieszkali głównie pracownicy Biura Odbudowy Stolicy. Składane z prefabrykatów domki Warszawa otrzymała w darze od ZSRR, który z kolei dostał je w ramach reparacji wojennych od Finlandii. Domki z 1945 roku miały być zabudową tymczasową, planowano, że postoją 5 lat.

Pod koniec 2011 roku w prasie zaczęły pojawiać się artykuły o planowanej likwidacji osiedla. W mediach i na forach internetowych rozpoczęły się dyskusje na temat wartości drewnianych domków i ich dalszych losów. W dyskursie publicznym podnosiło się jednak głównie kwestie wartości drewniaków jako zabytków kultury materialnej lub budynków mieszkalnych o niskim standardzie, pomijając niematerialne dziedzictwo związane z osiedlem oraz znaczenie domków fińskich w pejzażu kulturowym stolicy.

Wiedzeni tym tropem postanowiliśmy pójść w teren. Efektem naszych poszukiwań jest bogaty materiał badawczy, na podstawie którego w niniejszym numerze staramy się przybliżyć specyfikę życia mieszkańców domków fińskich, a także opowiedzieć historię osiedla, którego dalsze losy są niepewne.

Czy w obrębie miasta może istnieć autonomiczne terytorium? **Michał Głuszek** przygląda się przestrzeni niepozornego osiedla, ukrytego za murami ambasad. Zbudowane na gruzowisku, dziś przypomina raczej park, nieregularnie poprzecinany drucianą siatką. Opowieść mieszkańców o pustych placach wokół domków, ogródkach warzywnych, chaszczach i potrzebie porządku autor tekstu umieszcza na tle realiów PRL.

Małgorzata Kunecka rysuje sieć zależności: wielopokoleniowe życie w drewnianych domkach, wspólne wychowywanie dzieci, spełnianie sąsiedzkich przysług i zaufanie. Mieszkańcy Jazdowa utrwalili relacje charakterystyczne dla małej społeczności.

Czy życie w ogrodzie jest fanaberią? – pyta **Jagna Jaworowska**. Jak mówią jej rozmówcy, w zimie trzeba: odśnieżać i palić w piecu; na wiosnę – posadzić rośliny, przekopać ogródek; w lecie – zbierać owoce, kosić trawę; na jesieni – grabić liście, przycinać żywopłot. Ale to i tak rajski adres.

Wielu z rozmówców badaczy zapamiętało Jazdów oglądany oczami dziecka. Obserwowali, jak powstawało i zmieniało się osiedle – mikroświat, z którym czują się silnie związani. **Daniel Kunecki** opowiada o początkach i przemianach tego świata widzianego poprzez pryzmat dzieciństwa.

Testy powstały na podstawie materiałów dokumentujących historię Jazdowa, zebranych w ramach projektu „Domki fińskie: pamięć osobista, historia, współczesność” (więcej na: www.domkifinskie.etnograficzna.pl).

Etnograf dotyka niekiedy tematów politycznych. Tak jest i w tym przypadku – pytając mieszkańców o Jazdów, nie pytaliśmy ich tylko o wspomnienia, otrzymywaliśmy odpowiedzi sformułowane z dzisiejszej perspektywy. Budowane przez lata poczucie wyjątkowości mieszkańców Jazdowa zaowocowało potrzebą autonomii i ochrony własnej tożsamości (której nie należy mylić z prawem do ochrony własności materialnej). 8 lutego 2014 roku rozpoczęły się konsultacje społeczne dotyczące przyszłości terenu Jazdowa. Staraliśmy się, aby dobór tematów do tego numeru EdK był możliwie neutralny, aby przybliżył odbiorcom temat domków fińskich, nie angażując się po żadnej ze stron konfliktu.



Siatka niezgody

Michał Głuszek

Jazdów wygląda mniej więcej tak: dużo zieleni, ładne ciemnobrązowe domy, piękne ogrody – a wszystko poprzecinane równo przystrzyżonymi żywopłotami, skrywającymi zwykłą drucianą siatkę.

W 2012 roku każdy z mieszkańców Jazdowa otrzymał wezwanie do zapłaty za użytkowanie gruntu należącego do miasta: terenu, na którym stoi domek, oraz ogrodzonego siatką ogrodu. Miasto wezwało do opłaty na podstawie tzw. bezumownej dzierżawy gruntu. Opłaty wynosiły, jak wspominali moi rozmówcy, mieszkańcy Jazdowa, od tysiąca do czterech tysięcy złotych miesięcznie. Podobno nikt nie

zaczęły płacić, a reakcje były różne. Niektórzy – najbardziej zdeterminowani i walecznie nastawieni – zignorowali pisma; kilka osób natychmiast zdemontowało płot; inni znów złożyli prośbę o przydzielenie innego mieszkania komunalnego. Złożenie rezygnacji z mieszkania na Jazdowie anulowało opłatę i cały dług, który do tej pory był naliczony lokatorom.

W poniższym szkicu postaram się odtworzyć historię grodzienia terenu osiedla domków fińskich na Jazdowie. Opieram się na rozmowach, które autorzy tekstów w tym tomie przeprowadzili z byłymi i obecnymi mieszkańcami osiedla. Jak to z ludzkimi wspomnieniami bywa, ciężko o dokładną chronologię. Od dat jednak ważniejszy wydaje mi się sam opis procesu porządkowania terenu oraz motywacji, które za tym procesem stały.

Osiedle Jazdów

Osiedle zbudowano w 1945 roku dla rodzin pracowników Biura Odbudowy Stolicy (BOS). Ich oryginalny układ – dziś już, ze względu na wyburzenia, trudny do rozpoznania – zaprojektował znany architekt Jan Bogustawski¹. Gęsto ustawione domki układały się w kilka okręgów tworzących kolonie. W ich środkach powstały koliste place – z początku przestrzeń wspólna, szybko jednak rozparcelowana między sąsiadów. Mieszkańcy zakładali warzywniaki, niektórzy hodowali kury. Pomiędzy domkami sadzili żywopłoty i robili płotki oddzielające ogródki. Pan Witek, pracownik BOS-u, który dorabiał sobie prawie profesjonalną uprawą

1 Jan Bogustawski (1910–1982) – architekt znany przed wojną głównie jako projektant mebli i wnętrz (pawilony polskie na wystawach światowych w Paryżu i Nowym Jorku), po wojnie zaangażowany w odbudowę Warszawy – był głównym projektantem odbudowy Zamku Królewskiego, a także autorem licznych projektów osiedli mieszkaniowych, budynków użyteczności publicznej i kościołów.

warzyw (na działce zbudował szklarnię), ogrodził swój teren jeszcze w latach 40. Już wtedy na osiedlu zaczęły pojawiać się pierwsze płoty. Mniej lub bardziej solidne, miały chronić ogródki przed zwierzętami.

Jeden z mieszkańców opowiada:

Wtedy to był wszystko jakiś tam szaber z budowy. Kawątek zardzewiałej siatki i drutu kolczastego, i jak ktoś miał czas i z czego, to z deseczek jakiś płotek zrobiony. I te płotki się rozpadały. [Ale] od początku ludzie stawiali, choćby po to, żeby pies nie podeptał grządek.

Jednak, według relacji mieszkańców, do końca lat 80. (choć może późnych 70., albo nawet wczesnych 90. – tu pamięć zawodzi właściwie wszystkich) nie było między domkami solidnych ogrodzeń. Całe osiedle było oddzielone od reszty miasta parkami – Ujazdowskim od zachodu, Agrykołą na południu i Parkiem Sportowym² od wschodu. Granicę północną, od strony ul. Pięknej, stanowił mur, pozostałość po Szpitalu Ujazdowskim, z bramą w miejscu, gdzie ul. Jazdów łączy się z Piękną i Górnośląską. Mur istniał prawdopodobnie aż do czasu budowy gmachu ambasady francuskiej na przełomie lat 60. i 70., ostatni jego fragment można dzisiaj oglądać na rogu ulic Pięknej i Lennona.

2 Park Sportowy: tak teren na Skarpie Warszawskiej – od osiedla domków fińskich po Agrykołę – nazywany był na planach Warszawy z lat 50. i 60. Na początku – Park Sportowy im. Sobieskiego, potem – Międzyszkolny Park Sportowy.

Takie wyjątkowe społeczeństwo tworzymy³

Ze wspomnień osób, z którymi rozmawialiśmy, układa się wyidealizowany obraz osiedla. Jego mieszkańcy stworzyli niemalże rajską *communitas* – wspólnotę bez podziałów społecznych, w której wszyscy żyli w bratersko-siostrzanej harmonii. Wszyscy się znali i szczerze przyjaźnili, dzieci wspólnie bawiły się na całym terenie osiedla, nawet psy i koty biegały swobodnie. Na osiedlu mieszkali (i wciąż mieszkają) ludzie z różnych warstw społecznych: zarówno wybitni architekci zatrudnieni w BOS, jak i szeregowi pracownicy Biura, artyści, filmowcy i zwykli urzędnicy. W codziennych kontaktach nikt jednak nie zwracał uwagi na status, a brak ogrodzeń wpływał na bliskość kontaktów sąsiedzkich.

Nowi mieszkańcy łatwo się aklimatyzowali. Opowiada były lokator domku, który wprowadził się na osiedle w latach osiemdziesiątych:

Okazało się, że to jest bardzo fajna, powiedziałbym, komuna mieszkańców, gdzie my byliśmy stosunkowo młodzi. Nie było takich dużych różnic wieku, bardzo było towarzysko miło. Myśmy się bardzo szybko zaprzyjaźnili. Tam nie było jeszcze wtedy poogrodzanych ogródków, tam była większa wspólnota, w każdym razie – wszyscy byli bardzo życzliwi, wszyscy się z grubsza znali, czynili sobie różne sąsiedzkie przysługi.

Legendarne były imprezy organizowane na Jazdowie, w których uczestniczyli wszyscy mieszkańcy. Nikogo nie trzeba było zapraszać, i nawet jeśli ktoś nie przyszedł, bo akurat nie miał ochoty, to też nikt się o to

3 Stowa jednej z rozmówczyń, mieszkającej jeszcze na osiedlu wnuczki pierwszego lokatora. Relacje sąsiedzkie na Jazdowie szerzej opisuje Małgorzata Kunecka, w tekście „Jak dobrze mieć sąsiada”.



Fot. Michał Głuszek

nie obrażał. Mieszkańcy z rozrzewnieniem wspominają, jak rano wpadali do sąsiada na kawę – bez zapowiedzi i bez pukania, robili jajecznicę z pięćdziesięciu jaj czy jak pożyczali sobie różne rzeczy „na wieczne nieoddanie” albo dzielili się warzywami z ogrodów.

Tu sąsiedzi na zasadzie krzyku porannego wołali siebie nawzajem na kawę. To wszystko żyło, to tętniło! Tu były Bunia i Funia – rottweilerki sąsiadów, które przychodziły i leżały na przykład u mnie. Jak ktoś szukał psa, to musiał się przejść po domkach, pokrzyczeć, bo mógł być pies u kogoś na karmieniu

– wspomina swoją młodość na osiedlu jeden z mieszkańców.



Fot. Michał Głuszek

W ten sposób nasi rozmówcy kreowali obraz niemalże utopijnej społeczności. Mam wrażenie, że podkreślenie braku ogrodzeń wzmacniało przekaz o wyjątkowej wspólnotcie, jaką tworzyli mieszkańcy. W narracjach o Jazdowskiej społeczności nie było miejsca na przedstawienie ewentualnych problemów i konfliktów sąsiedzkich. Niedogodności wspólnego życia na osiedlu wyrugowane zostały z tych opowieści przez nostalgiczne spojrzenie na przeszłość. Ten wyidealizowany obraz oddaje tęsknotę za wspólnotą, która już w zasadzie nie istnieje, a którą rozmówcy tworzyli przez kilkadziesiąt lat.

O konieczności grodzenia

Im bliżej czasów współczesnych, tym lepiej mieszkańcy pamiętają wady mieszkania bez ogrodzenia. W stanie wojennym ulica Jazdów stała się zapleczem dla oddziałów milicji i wozów wojskowych, zgrupowanych w celu tłumienia manifestacji. Co prawda od żołnierzy można było kupić benzynę (towar w stanie wojennym deficytowy), ale też byli oni dość uciążliwi. Jak wspomina jeden z mieszkańców, który sam w latach 80. był w wojsku:

Tu w osiemdziesiątych latach, pamiętam, były całe kordony milicji, ZOMO, które tu stacjonowały. No, i wiadomo, jak to w tych latach, mnóstwo chłopaków, którzy się rozchodzili tu po domkach, załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne i trzeba było sprzątać...

Opowiada mieszkaniec Jazdowa, który odziedziczył dom po ojcu:

Był tu jeden dżentelmen, legenda głosi, że ten człowiek później stał się wariatem. Był prostym facetem, ale z wykształcenia, z wychowania komunista. I wygrał kiedyś syrenkę w takiej czy innej loterii państwowej. Uważał, że to jest jego wielka nagroda za lojalną służbę na rzecz PRL-u. Którejś nocy, w trakcie godziny milicyjnej – kiedy na tym osiedlu nikt nie wyściubił nosa z domu, bo stały suki milicyjne i armatki wodne, w ogóle nie było dyskusji – którejś nocy ta syrenka mu zniknęła. I on sobie zdał sprawę, że jedyną osobą, która mogła ukraść ten samochód, mógł być milicjant. Nie mógł to być ktokolwiek inny. I jego świat się zawalił. I to powoli go wkręciło, powoli doprowadziło do szaleństwa.

Mieszkańcy pytani o powody stawiania płotów wskazywali na liczne niedogodności związane z brakiem ogrodzeń. Problemy z milicją w czasie

stanu wojennego to tylko część z nich. Inni mieszkańcy przypominają sobie też drobne kradzieże, których padli ofiarą, meneli urządzających libacje pod domami czy w końcu podglądaczy i ekshibicjonistów. Okolice osiedla były też miejscem bójek kibiców.

Budowa ambasady francuskiej (1967–1971), a zaraz potem Trasy Łazienkowskiej (1971–1974), otworzyła teren osiedla na Warszawę. Zniknął mur od strony ulicy Pięknej, zmniejszała się liczba domków – władze miasta wyburzały je pod wspomniane budowy, ale też korzystały z każdej okazji, żeby przerzedzić zabudowę. Kiedy znikwały domki, przestrzeń między pozostałymi się powiększała.

Jeden z mieszkańców opowiada:

Zaczęli się odgradzać, bo zostały puste miejsca po domkach, które poszły pod ambasady, pod Trasę. Zaczęło się robić tak, że każdy miał dostęp do tych ogródków, wrzucał butelki. No, i tak nadal może wrzucić przez parkan. Ale biesiadowali sobie przed domkami, jak nikogo nie było. Jak wyczuli, że nikogo nie było. Takie meneliki różne, bo sporo chodziło takich meneli.

Prowizoryczne płotki stawiane przez pierwotnych mieszkańców się rozpadały – zarzucono uprawę warzyw, więc nie miały już czego chronić. Przestrzeń między oddalającymi się od siebie domkami wypełniły zarośla, które oddziaływały domki od siebie i od ulicy. Z jednej strony dawało to poczucie prywatności, z drugiej jednak nie chroniło przed nieproszonymi gośćmi pod oknem – amatorami piwa, podglądaczami czy w końcu kibicami.

Oni się w tych krzakach łomotali przecież strasznie!

Mieszkańcy określają grodzenie domków jako proces „porządkowania bałaganu”. Piękne, zadbane ogrody zaczęły powstawać dopiero po zbudowaniu płotów. Szczególnie ci, którzy wprowadzili się na osiedle

pod koniec lat 80., używali w opisie stanu, jaki zastali, słów: „dziki” czy „bałagan”.

Czas, kiedy na Jazdowie stawiane były ogrodzenia, to przełom lat 80. i 90, okres transformacji politycznej i społecznego niepokoju. Wiązało się to także ze wzrostem poczucia zagrożenia przestępczością, a medialny dyskurs na jej temat – coraz częstsza obecność tej tematyki w serwisach informacyjnych – dawał wrażenie braku kontroli władz publicznych nad bezpieczeństwem⁴.

Transformacja

Wkrótce w Warszawie zaczęły powstawać pierwsze osiedla grodzone. Rozkwit takich form zamieszkiwania nastąpił w wielu współczesnych państwach kapitalistycznych. Antropolodzy miasta widzą w powstawaniu grodzonych osiedli charakterystyczne cechy późnej nowoczesności – potrzebę „radzenia sobie” i minimalizowania ryzyka. Lęk, który skłania ludzi do zamykania się za ogrodzeniami, instalowania monitoringu, zatrudniania ochrony, jest bowiem związany raczej z niepewnością, ryzykiem, brakiem czy też z chęcią odzyskania kontroli nad rzeczywistością. Stąd na przykład budowa coraz lepiej chronionych osiedli mimo realnego spadku przestępczości (Gądecki 2009). Anthony Giddens

4 Z tym bezpieczeństwem to tu jest bardzo mętna sprawa – zaznacza jednak lokator jednego z domków. – Bo teoretycznie tutaj jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa nie ma. Natomiast na Rozdrożu jest sklep monopolowy czynny całą dobę, wie pani – pole do popisu dla pewnej grupy ludzi. I oni tutaj rzucają te puszki, butelki. To nie jest jakaś wielka szkoda, ale jednak jest to nieprzyjemne. Były przypadki, że zaatakowali moją córkę, były takie przypadki. Teraz mniej się to zdarza i wydaje mi się, że w pewnym stopniu zawdzięczamy to temu, że to zostało właśnie pogrodzone i ci ludzie nie szwendają się już gdzieś tu w krzakach.

wyraźnie odróżnia taki lęk od strachu przed jakimś konkretnym zagrożeniem (Giddens 2001, s. 62).

W warunkach nowoczesności człowiek nieustannie zmuszany jest do podejmowania ryzyka. Ze względu jednak na daleko idącą specjalizację wiedzy nie jest w stanie oszacować go samodzielnie w różnych dziedzinach, musi zaufać ekspertom. „Uczucia niepokoju, obawy i desperacja” – pisze brytyjski socjolog – „często w doświadczeniu jednostki mieszają się z przekonaniem, iż istnieją struktury społeczne i techniczne, na których można polegać” (Giddens 2001, s. 248).

Zbieżność w czasie powstawania osiedli-twierdz i ogrodzeń domków na Jazdowie – chociaż te drugie łatwo sforsować, zaznaczają raczej przestrzeń i zniechęcają do ich przypadkowego przekraczania – nie jest zupełnie przypadkowa i powiązać ją można z rozwojem tzw. *kultury kontroli* (Garland 2001). Jednym z jej symptomów jest brak wiary w to, że państwo może efektywnie walczyć z przestępczością, oraz popularność prywatnych sposobów ochrony.

W kontekście polskim sprzyjał temu z pewnością demontaż centralnie zarządzanego systemu socjalistycznego, prywatyzacja i przywrócenie samorządności. Jednocześnie promowane były wzory zachowań, w których o dobrostan swój i swojego otoczenia dbać ma jednostka, a nie administracja publiczna. Mieszkańcy grodzonych osiedli wybrali do pomocy prywatne firmy ochroniarskie, mieszkańcy Jazdowa wzięli sprawy w swoje ręce.



Fot. Michał Głuszek

Administracja

Ci, którzy postawili ogrodzenia, podkreślają często właśnie rolę administracji w tym procesie. Według nich przeniesienie odpowiedzialności za teren na mieszkańców było na rękę borykającym się z problemami finansowymi władzom Warszawy.

Oni nic, administracja i miasto nic nie robili, nie porządkowali tego terenu jako takiego, żeby kosić trawę, przystrzyż żywopłot. Więc trzeba było zacząć o to dbać i kosić trawę, ludzie sobie ogródeczki pozakładali przed domem. Ale też administracja kiedyś przystała do nas takie pismo, że prosi, żebyśmy dbali o te tereny wokół domku.

Żebyśmy dbali, nawet pod groźbą jakiejś tam kary. Tak, mamy to pismo. Oni tego nie robili, więc każdy dbał o to

– opowiada mieszkanka, która całe życie spędziła na Jazdowie.

Inna, która wprowadziła się w latach 80., spytała administrację, o jaki dokładnie teren ma dbać. Dowiedziała się, że „od ulicy do sąsiadów”. Problem w tym, że z jednej strony domu do najbliższych sąsiadów miała ponad pięćdziesiąt metrów – sama nie była w stanie zająć się tak dużym terenem. Administracja zgodziła się na jego zmniejszenie „do najbliższych drzew” i lokatorka tak właśnie ogrodziła swój domek.

Pojawiły się nawet głosy, że pomysł grodzenia był propagowany przez samorząd:

Na początku było tak, że ludzie się odgradzali żywoptotem po prostu. Samoistnie jakby te tereny się zaznaczało, a potem składało się pismo z prośbą o możliwość ogrodzenia. No, i w sumie wtedy nie było problemu. Wręcz oni to rozdawali. Pamiętam historię, dziadek mi opowiadał, że administracja zupełnie nie chciała się zajmować tym terenem. I oni wręcz dawali nam, wciskali nam te tereny, żebyśmy się odgradzali, żeby mieć to z głowy. I tylko pamiętam, że było pismo do podpisania, że skoro bierzemy ten teren pod siebie, to mamy o niego dbać, kosić, zajmować się roślinami, drzewami. I wszystko na własny koszt. Więc oni po prostu wypychali nam tę ziemię, którą teraz walecznie nam chcą odebrać.

Ogrodzenie domków wywołało problemy kompetencyjne. Jeden z mieszkańców przypomina sobie sprawę wielkiej topoli, która rosta między dwiema posesjami i której gałęzie zagrażały domkom:

myśmy ciągle alarmowali, że gałęzie zlatują na domek i bez przerwy administracja z gospodarką komunalną i zakładem zieleni

miejskiej nie mogła się zdecydować: czy to należy do miasta, czy powinno miasto sprzątać, czy należy do osiedla.

Mieszkańcy przyznają jednak, że w ostatnich latach przed ogłoszeniem likwidacji osiedla administracja również inwestowała w jego porządkowanie. Ulicę Lennona i alejki między koloniami wyłożono kostką brukową (wcześniej były wysypane żużlem i nie zachęcały do spacerów), wyremontowano dachy i wymieniono okna w wielu domkach. Miasto wynajęło firmy, które mają się zajmować utrzymaniem porządku na nieogrodzonym terenie. Niektórzy mieszkańcy krytykują ich pracę, przeciwstawiając anonimowym działaniom prywatnych firm – osobiste zaangażowanie dozorczy. Ten jednak niedawno się wyprowadził.

Spotkałem się również z głosem pozytywnym – po likwidacji ogrodzenia wokół posesji (jak pamiętamy, wymuszonym przez administrację), nie trzeba się już kłopotać koszeniem trawy w ogrodzie.

Dopóki będę tutaj mieszkała

– mówi mieszkanka, która zdjęła ogrodzenie –

i będę mi kosili, to po prostu taka ulga, że nie wiem! Po jakimś czasie [od zdjęcia siatki], ale jednak, zaczęli nam kosić, bo tak, to ja sama kosiłam ten wielki ogródek. [A teraz] po prostu wchodzi i koszą. Wszędzie tutaj wokoło. Tu, gdzie jest pootwierane – po prostu koszą, wychodzą, ja wstaję rano i: o! skoszone!

Zakończenie: otwieranie Jazdowa

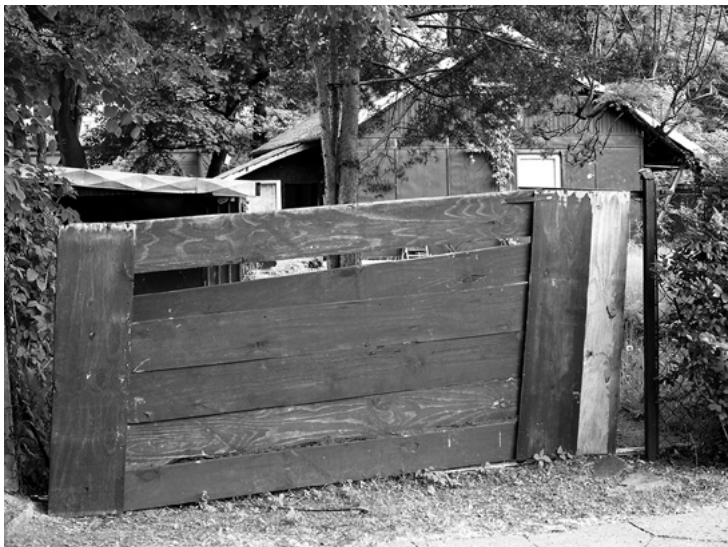
Przez prawie 70 lat swojego istnienia przestrzeń osiedla ulegała wielokrotnym przekształceniom. Gęsto zabudowana wieś na gruzach

Szpitala Ujazdowskiego z początku traktowana była jak tymczasowa. Ludzie dbali o otoczenie, ale nie chcieli – a w powojennych warunkach nie mieli z czego – zbyt wiele w nie inwestować. Przestrzeń między domami wypełniły prowizoryczne płotki, potem żywopłoty. W miarę jak perspektywa likwidacji osiedla zdawała się coraz bardziej nierealna, lokatorzy przywiązywali się do tego miejsca, rodziły się kolejne pokolenia, dla których komunalne domki fińskie były domami rodzinnymi.

Mieszkanie w domku fińskim – pierwotnie prowizorycznym schronieniu dla budowniczych Warszawy – wymagało wielkiego zaangażowania w powstrzymanie przed rozpadem jego materii. Ci, którym nie starczało na to sił czy ochoty, rezygnowali. Codzienna praca, dbałość o dom i jego otoczenie przywiązywała mieszkańców do tego miejsca. To nie było zwykłe, wynajęte mieszkanie, domek na Jazdowie stawał się częścią tożsamości tych, którzy postanowili w nim mieszkać mimo wielu niedogodności.

Przemiany przestrzeni osiedla – od tymczasowego, socjalistycznego porządku, który powoli zmieniał się w chaos, po ostateczne „ucywilizowanie” terenu za pomocą trwałych ogrodzeń i założenie pięknych ogrodów – łączą je z procesami zachodzącymi w całym mieście. Powstanie ogrodzeń zmieniło bezkształtną i chaotyczną przestrzeń w przestrzeń miejską: uporządkowaną i bardziej czytelną. Taka przemiana Jazdowa dokonana została przez troskę i przywiązanie mieszkańców do miejsca. Była także odpowiedzią na trend prywatyzacyjny, obecny na początku transformacji ustrojowej: przeniesienie odpowiedzialności za teren osiedla z administracji na lokatorów. I to właśnie uporządkowanie chaosu nadało obszarowi Jazdowa wartość, jaką widzą w osiedlu mieszkańcy Warszawy i turyści.

Groźba likwidacji osiedla, wysiedlenia mieszkańców, które miały miejsce w ostatnich dwóch latach, to kolejne przekształcenia w jego przestrzeni. Wysiedlone domki zostały zajęte na całe wakacje 2012 roku



Fot. Michał Głuszek

przez organizacje pozarządowe i kulturalne działające w porozumieniu z mieszkańcami pod szyldem „Otwarty Jazdów”. Organizacje funkcjonowały w domkach już bez ogrodzeń i próbowały wypracować nową wizję tego terenu – opozycyjną wobec planów miasta, które, choć nigdy jasno ich nie przedstawiło, podejrzewano o chęć całkowitego zniszczenia osiedla. Chodziło o to, żeby uchronić opuszczone domy przed zniszczeniem – wandalizmem i naturalnym rozpadem.

Miasto zgodziło się na wynajęcie domków, przedstawiając ten gest jako przekazanie ogółowi mieszkańców majątku zawłaszczanego (za pomocą ogrodzeń) przez dotychczasowych lokatorów. Była to diametralna zmiana w retoryce – na początku konfliktu przedstawiciele władz przekonywali, że drewniane domki nie pasują do wizerunku nowoczesnego centrum

stolicy i powinny zniknąć; teraz uznali, że wartość tego terenu tkwi właśnie w jego inności, kontraście z resztą Śródmieścia. Nie zmienili jednak swojego stosunku do ogrodzeń, dzięki którym mieszkańcy mogli stworzyć tę uroczą enklawę. Jesienią okazało się, że „Otwarty Jazdów” nie będzie mógł przedłużyć swojego działania – na zimę domki pozostały puste i niszczały.

W lutym 2014 roku rozpoczęły się pierwsze przeprowadzane na wniosek mieszkańców Warszawy – konsultacje społeczne w sprawie terenu przy ulicy Jazdów.

Michał Głuszek – absolwent Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej. Do niedawna podstawowym terenem jego badań była Republika Macedonii. Zazwyczaj zainteresowany antropologią religii. Woli faunę i florę od relacji społecznych.

Literatura

Garland D.

2001 *The Culture of Control. Crime and Social Order in Contemporary Society*, The University of Chicago Press

Gądecki J.

2009 *Za murami. Osiedla grodzone w Polsce – analiza dyskursu*, Wrocław

Giddens A.

2001 *Nowoczesność i tożsamość. „Ja” i społeczeństwo w epoce późnej nowoczesności*, Warszawa



Jak dobrze mieć sąsiada

Małgorzata Kunecka

Pamiętam, jak w czasach dzieciństwa szłam czasem z którymś z rodziców do mieszkania obok, aby skorzystać z telefonu, którego u nas nie było. Na dobiegające zza drzwi pytanie „Kto tam?” odpowiadało się głośno: „sąsiad!” lub „sąsiadka!” i drzwi natychmiast otwierały się, niczym wrota sezamu po wypowiedzeniu zaklęcia. Sąsiad – czyli swój, ktoś bliski, z którego strony nic nie grozi, a nawet dający poczucie bezpieczeństwa.

Słownik języka polskiego PWN podaje, że sąsiedztwo to *przebywanie w pobliżu kogoś lub czegoś*, to również *najbliższa okolica*, a także *osoby znajdujące się lub mieszkające w najbliższej okolicy*. I już, tylko tyle. Tymczasem pod tym słowem kryje się często spory ładunek emocji. Bo przecież sąsiedzi bywają różni: wścibscy albo dyskretni, cisi albo hałaśliwi, konfliktowi lub nie. A wszystkie te cechy mogą mieć niebagatelny wpływ na naszą codzienność.

Postanowiłam przyjrzeć się relacjom sąsiedzkim na Jazdowie: sprawdzić, kto w 1945 roku zamieszkał w domkach fińskich na terenie Górnego Ujazdowa, kiedy i dlaczego mieszkańcy się zmieniali, jakie więzi ich łączyły? Czy obecni mieszkańcy są potomkami tych pierwszych, a jeśli nie, to kiedy i dlaczego zamieszkali w tym miejscu? Czy jest coś, poza adresem zamieszkania, co łączy dziś wszystkich jazdowian?

Boże, Odbuduj Stolicę! **Kto zamieszkał w fińskich domkach?**

W momencie zakończenia II wojny światowej lewobrzeżna Warszawa była morzem ruin – została zniszczona niemal w 80%. Mimo wszechobecnych gruzów, tylko w pierwszym kwartale 1945 roku do stolicy wróciło blisko sto tysięcy osób. Te sto tysięcy ludzi musiało znaleźć jakieś schronienie, gdzieś zamieszkać, i był to nie lada problem: skala zniszczeń, szczególnie w Śródmieściu, była tak ogromna, że odbudowa miasta wydawała się być zadaniem przekraczającym ludzkie możliwości.

Czternastego lutego 1945 roku Krajowa Rada Narodowa powołała instytucję, której zadaniem było podniesienie Warszawy z ruin – Biuro Odbudowy Stolicy, w skrócie – BOS. „Boże, Odbuduj Stolicę!” – mawiano.

W pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny BOS skupił się przede wszystkim na zabezpieczeniu ocalałej zabudowy. Odbudowa Warszawy polegała więc raczej na przywracaniu do użytku istniejących budynków niż na wznoszeniu nowych. Prace remontowe często prowadzili też na własną rękę mieszkańcy ocalałych budynków.

W 1945 roku w Warszawie nie powstał ani jeden nowy murowany dom. Szczególne znaczenie miał zatem dla miasta dar Związku Radzieckiego – drewniane domki fińskie, które ZSRR otrzymał od Finlandii w ramach reparacji wojennych. Zmontowane z gotowych elementów drewniaki ze spadzistym dachem zostały skupione w trzech osiedlach. Jako pierwsze powstało osiedle dziewięćdziesięciu domków na Górnym Ujazdowie. Zamieszkali tam przede wszystkim ci, których obecność w Warszawie była w tym okresie kluczowa – pracownicy Biura Odbudowy Stolicy: architekci (m.in. Stanisław Jankowski „Agaton”, Jan Grabowski, Jerzy Gieysztor, Halina i Zygmunt Skibniewscy), inżynierowie budowlani i kopiści. Był i fotograf, i profesor SGGW zajmujący się zielenią miejską, byli też robotnicy.

Tu się zasiedlało dwa rodzaje ludzi. Przede wszystkim tych, którzy budowali Warszawę: Witki, Jankowski, Baumiller, mój ojciec, który był kierownikiem budowy tych domków, i proletariat. No bo to musiała być mieszanek zrobiona tak, żeby to wyglądało po socjalistycznemu. Kaleta to był robociarz, który bez przerwy chodził do wszystkich i mówił: „towarzyszu” i „jak tam proletariat?”

– wspomina wychowany na osiedlu reżyser Marian Marzyński.

Zamieszkali wszyscy razem, w bezpośrednim sąsiedztwie największego wówczas placu budowy: Śródmieścia Warszawy. Z dzisiejszej perspektywy tak bliskie sąsiedztwo znajomych z pracy może wydawać się dziwne, a nawet niekomfortowe, wtedy jednak nie było niczym niezwykłym. Już w okresie międzywojennym zakładano spółdzielnie mieszkaniowe, które skupiały przedstawicieli konkretnych grup zawodowych, a nawet

pracowników tej samej instytucji. Pracowano razem, ale też widywano się po pracy, znały się całe rodziny współpracowników, dzieci bawiły się razem na podwórku, odwiedzano się w domach. Tak było też na Jazdowie.

Łopata do pogłębiania więzi

Czasy powojennych braków pamiętają dziś już tylko nieliczni mieszkańcy Jazdowa. W całej Polsce, ale szczególnie w Warszawie, brakowało niemalże wszystkiego. Niedostatki łączyły ludzi, skłaniały do nawiązywania kontaktów z sąsiadami. Pożyczano sobie rozmaite przedmioty codziennego użytku. W grudniu 1946 roku pisała o tym na łamach „Stolicy” anonimowa autorka artykułu pt. „Mieszkam w fińskim domku”:

Pogłębieniu więzi społecznej służy należycie nowa balia, pożyczana nieraz od sąsiadki z innej kolonii, kocioł, grabie, czy łopata.

Potwierdza to najstarsza obecnie mieszkanka Jazdowa, która na osiedlu zamieszkała we wrześniu 1945 roku:

Jak się sprowadziłam, to była balia drewniana, przywieziona spod Warszawy, tara i wyżymaczka, i to wszystko podróżowało od chaty do chaty, wszyscy pożyczali.

Pomagano sobie zresztą w rozmaity sposób. Jedna z obecnych mieszkanki osiedla, a zarazem wnuczka pierwszych lokatorów domku, w którym mieszka, opowiada rodzinną historię o tym, jak jej dziadek sprowadził na Jazdów żonę i dziecko:

To były te czasy, gdzie ciężko było o transport czy coś, no to, że jakiś właśnie z BOS-u kolega jechał coś tam załatwiać i zabrał z całym dobytkiem babcię z córką.

Wspólnie porządkowano teren, przy okazji pomagając sobie nawzajem w gromadzeniu i szykowaniu opatu.

Osiedle to było, proszę panią, zawałone po wojnie, po Powstaniu, drzewa były wywalone, bałagan. Myśmy tutaj, wszyscy co mieszkamy, porządek robili. Jaki porządek! Bo drzewo żeśmy zbierali i piłą nawzajem sąsiedzi sobie piłowali i w piecach żeśmy palili i ogrzewali

– wspomina pierwszą zimę w domkach fińskich najstarsza rozmówczyni, mieszkająca na osiedlu od samego początku.

Osiedle drewniaków na Górnym Ujazdowie zaprojektował architekt Jan Bogusławski. Podzielił przestrzeń osiedla na tzw. kolonie, czyli kwartały skupiające od kilku do kilkunastu domków ustawionych na planie okręgów. Wewnątrz każdego okręgu znajdował się teren przeznaczony



1977 impreza ogródkowa. Źródło: archiwum rodziny Baumillerów

pod przydomowe uprawy warzyw – wspólny dla wszystkich, zgodnie z ideą społeczną sprawiedliwości podzielony równo pomiędzy mieszkańców. Najstarsza z jazdowianek opisuje to tak:

Jak żeśmy się sprowadzili, to oni zrobili tak: tu środek [przestrzeń między domkami] było takie olbrzymie koło i tam była trawa. I potem był podział, że tak powiem, majątkowy: co komu się należy, kawałek, jak ktoś chce coś zrobić. No to pokroili to koło. Dla tych, co tutaj mieszkają, to było podzielone, i każdy mógł sobie na tym kole [coś posiać lub posadzić].

Właściwie od razu okazało się, że ten system równego podziału nie sprawdził się. I wcale nie dlatego, że komuś brakowało przydzielonej ziemi. Niektórzy nie byli zainteresowani prowadzeniem upraw – zrezygnowali z własnej marchewki i pietruszki na rzecz sąsiadów, nie chcąc niczego w zamian.

Domki początkowo nie miały łazienek, tylko toalety i bieżącą zimną wodę, którą nagrzewało się do codziennego mycia w miednicy. Żeby się wykapać, trzeba było wybrać się do publicznej łaźni, zorganizowanej w jednym z dawnych pawilonów Szpitala Ujazdowskiego.

I myśmy co sobotę z mamą, mama nas brała, dzieci, kto chciał. To żeśmy szli do tej łaźni i to była dla nas atrakcja, bo tam mama w jednej kabinie się kąpała, a my w drugiej, a to żeśmy się podglądali nawzajem, wygłupialiśmy się, żarty były... Ale rzeczywistość, z ręcznikami, tak, przewieszonymi, czy z jakimiś tam torbami żeśmy szli raz w tygodniu

– wspomina jedna z rozmówczyń, wychowanych na Jazdowie na przełomie lat 40. i 50.

Możliwość czy jak w przypadku łaźni wręcz konieczność korzystania z budynków użyteczności publicznej siłą rzeczy służyły integracji mieszkańców.

Tam, gdzie ambasada francuska, tam też był taki budynek fiński duży zbudowany. I tam była świetlica. Też drewniany. I tam było to pierwsze przedszkole takie, tam były choinki dla dzieci z terenu¹

– opowiada jeden z mieszkańców.

Lata powojenne to czasy największego wyżu demograficznego. Wielu pierwszych mieszkańców miało dzieci w tym samym wieku, co oczywiście sprzyjało zacieśnianiu sąsiedzkich relacji wśród rodziców rówolatków, a przede wszystkim sprawiało, że nowe pokolenie, urodzone już na Jazdowie i wychowujące się razem, łączyła szczególna więź.

Wszyscy żeśmy się tutaj znali, bawili od dziecka. Chodziliśmy tutaj do szkoły

– wspomina mieszkanka, która całe życie spędziła na Jazdowie.

To może nic wyjątkowego, ale zielona, otwarta przestrzeń osiedla sprzyjała integracji, zwłaszcza że wtedy, jak mówię, nie było ogrodzeń. Dzieci latały wszystkie. Z psami, z kotami. Wszystko to razem było

– jedna z wieloletnich mieszkanek przywołuje czasy swojego dzieciństwa, które przypadło na pierwsze lata po wojnie.

Osiedle było gęsto zaludnione. Rodziny były liczne, często wielodzietne i wielopokoleniowe, a domki niewielkie: dwa lub trzy pokoje z kuchnią. W każdym pokoju część miejsca zajmował duży piec kaflowy, a w kuchni – kuchnia węglowa. Mieszkańcy wspominają, że trójka czy

1 W 1967 roku, w związku z budową ambasady Francji przy ul. Pięknej 1 rozebrano około dwudziestu domków fińskich.

czwórka rodzeństwa zdarzała się bardzo często, a rekordziści mieszkali w sześćdziesięciometrowym domku w dziewięć osób: z szóstką dzieci i gosposią. U architekta Jerzego Gieysztora poza jego córką mieszkała jeszcze bratanica i dwóch kuzynów, którzy przyjechali uczyć się w Warszawie. Bardzo częstą sytuacją było mieszkanie z mamą czy teściową, a tym, którzy mieli stosunkowo dużą przestrzeń życiową (np. dwa pokoje z kuchnią dla małżeństwa z jednym dzieckiem), pod koniec lat 40. dokwaterowano lokatorów². Ta sytuacja przymusowego sąsiedztwa w ramach jednego domku trwała kilka lat, po których dokwaterowanym rodzinom przydzielono odrębne mieszkania w innych częściach miasta.

Wymiana, czyli co było dalej

W latach 60. mieszkańcy stopniowo zaczęli się wymieniać. Wyprowadzili się niektórzy z pierwszych lokatorów, wielu architektów dostało nowe mieszkania, a fińskie domki przydzielano kolejnym rodzinom. Ten proces powolnej wymiany osiedlowej społeczności trwał także w następnych dekadach.

[Noo, troszkę było tu rotacji](#)

– opowiada rozmówczyni mieszkająca na Jazdowie od początku.

[Ci inżynierowie, którzy mieszkali, te rodziny na początku, to niewiele z tego zostało. Z pięć domków, sześć domków zostało takich,](#)

2 Dwudziestego pierwszego grudnia 1945 roku Bolesław Bierut podpisał dekret *O publicznej gospodarce lokalami i kontroli najmu*, na mocy którego do mieszkań, w których zamieszkiwało niewiele osób w stosunku do ilości pokoi, dokwaterowywano dodatkowych lokatorów. Decyzja co do konkretnych warunków dokwaterowania (pożądana liczba lokatorów w mieszkaniu) była podejmowana lokalnie przez radę narodową (administrację miasta).

gdzie ludzie są od samego początku, ich rodzice czy dziadkowie mieszkali tutaj. Po iluś tam latach wiem, że między innymi inż. Stanisław Jankowski, który mieszkał po przeciwnej stronie, i wielu inżynierów się wyprowadziło. Nie wiem, załatwili sobie jakieś mieszkania, czy dostali mieszkania, czy starali się o to. Ja tego nie pamiętam. Ojciec się o to specjalnie nie starał, bo chciał tu być. Jemu się tutaj podobało. Chciał mieć ogródek. Były dzieci. Ja pamiętam tylko, że w którymś tam roku, sześćdziesiątym którymś chyba, ja nie pamiętam dokładnie, właśnie Stanisław Jankowski przyszedł tutaj do domku, do moich rodziców, i pytał: „Panie inżynierze?”, bo oni się znali z biura projektów i tak dalej, „Czy pan by chciał mieszkanie lepsze z wygodami? Czy pan by na to poszedł?” A ojciec właśnie na to się nie zdecydował.

Powody wyprowadzek były bardzo różne. W 1967 roku niemal cała jedna kolonia domków fińskich została wyburzona pod budowę ambasady francuskiej, a na początku lat 70. kilkanaście kolejnych rozebrano w związku z powstaniem Trasy Łazienkowskiej. Ostatnia duża rozbiórka, związana z budową ambasady Niemiec, miała miejsce już po roku 2000. W międzyczasie, z uwagi na stan techniczny, rozbierano pojedyncze domki. Dwa drewniaki spłonęły. Reżyser Marian Marzyński wyjechał z rodziną z Polski w 1968 roku na fali antysemitkiej nagonki. Najczęściej jednak dotychczasowi mieszkańcy decydowali się na zamianę lokalu na bardziej komfortowy. Domki fińskie na Jazdowie miały, i mają do tej pory, status lokali komunalnych, w związku z czym większości wyprowadzających się mieszkańców przyznawano w zamian inne mieszkanie kwaterunkowe. Mieszkańcy wspominają, że wielu lokatorów bez żalu zamieniało drewniany domek na mieszkanie w bloku czy kamienicy. Podkreślają, że zostawali Ci, dla których atmosfera osiedla i styl życia miały większe znaczenie niż ewentualne wygody.

Rezygnowali ludzie. Bo może mieli dość, jednak. Bo może mieli dość uciążliwości Zajmowania się domem. Bo jednak właśnie – trzeba było się samemu zajmować.

Zajmowanie się domkiem, a więc: noszenie węgla, palenie w piecach, dbanie o otoczenie i zieleń wokół domku, a zimą odśnieżanie, było szczególnie uciążliwe dla osób starszych. Stąd też, w przypadku kilku domków, mieszkańcy pozamieniali się: oddali stosunkowo duże, ale wymagające sporego nakładu pracy domki, w zamian za mniejsze, ale wyposażone w centralne ogrzewanie i ciepłą wodę mieszkania. W wyniku tych zamian Jazdów opuszczały osoby starsze, a wprowadzały się młode, nierzadko z dziećmi i z większą energią do prowadzenia intensywnego życia towarzyskiego. Zrobiło się wesoło, sporo imprezowano. Jeden z lokatorów, który na początku lat 80. zamienił mieszkanie na domek fiński opuszczony przez starsze małżeństwo, tak wspomina swoje pierwsze lata na Jazdowie:

Okazało się, że to jest bardzo fajna, powiedziałbym, komuna tych mieszkańców, gdzie my byliśmy, powiedzmy, stosunkowo młodzi. Nie było takich dużych różnic wieku, ale bardzo było towarzysko miło. Myśmy się bardzo szybko zaprzyjaźnili, tam nie było jeszcze wtedy poogradzanych tych ogródków, tam była większa wspólnota, w każdym bądź razie byli wszyscy bardzo życzliwi, wszyscy się z grubsza znali, czynili sobie różne sąsiedzkie przysługi, typu nie wiem: przechowywanie kluczy, zostawianie informacji, że ktoś przyjdzie, że ktoś wyjdzie. Także było to o tyle fajne.

W tamtym okresie na Jazdów sprowadziło się też kilkoro artystów, sporo ludzi znanych, przeważnie związanych z kulturą i sztuką m.in.: Barbara Wrzesińska, Jan Pietrzak, Maria Czubaszek i Wojciech Karolak, a na pewien czas także Jonasz Kofta. Większość tych osób dziś już na Jazdowie nie mieszka, jednak wciąż są wspominate. Wymienione powyżej nazwiska padły w niemal wszystkich rozmowach, które przeprowadziliśmy latem

i jesienią 2013 roku. Wszyscy byli zgodni, że nigdy nie dało się odczuć dystansu ze strony tych sąsiadów. Tak samo jak reszta, byli po prostu sąsiadami, których można spotkać na spacerze z psem. Jedna z młodszych mieszkanki zapewnia:

Naprawdę, tu są wszyscy tak życzliwi. I nie odczuwa człowiek jakiegoś takiego stresu, że ktoś jest tam bardziej znany... Się śmialiśmy, jak tutaj do Basi Wrzesińskiej, przez płot rozmawialiśmy – był pan Perepeczko, był pan Damięcki, Krysia Sienkiewicz... I tam machaliśmy i rozmawialiśmy. I to takie było swobodne, takie, bez żadnego przymusu, zażenowania, nie. Tutaj to jest niesamowite – ludzie mieszkający. Bo ja myślę, że to... Wiadomo, że enklawa zieleni i ostoja zwierząt przyrodnicza, natomiast to, co najważniejsze, to są ludzie, którzy od samego początku mieszkali jak jedna wielka rodzina.



Pierwsza komunia dzieci z osiedla, pierwsza połowa l. 50. XX w. Źródło: archiwum rodziny Wiktorowiczów

W sposobie mówienia o znanych sąsiadach daje się odczuć więź, jaka łączy z nimi pozostałych mieszkańców. Dowodem na to może być choćby często powtarzające się sformułowanie: *nasza Basia*, gdy mowa o aktorce Barbarze Wrześcińskiej, a niektórzy mieszkańcy komunikują wprost, że sąsiedztwo ludzi znanych, związanych z kulturą czy nauką uważają za wartość, a nawet powód do dumy.

Byliśmy strasznie dumni zawsze z tego, że mamy takie fajne sąsiedztwo, że mamy profesora Wałaszewskiego, który jest światowej sławy transplantologiem i liczą się największe sławy transplantologii na świecie z jego zdaniem. Byliśmy dumni z tego, że mieszka Basia, która tutaj zawitała, Wrześcińska, i jest takiej klasy aktorką, niepowtarzalnej klasy, bo to się rzadko zdarza. I pokolenia będą uczyć się po niej tego jej fachu. Byliśmy dumni z tego, że mieszkają tacy ludzie jak Krzysiu Baumiller, który jest fantastyczną osobą na wysokim poziomie kultury itd. No, wiele, wiele takich osób

– wymienia sąsiadów rozmówca związany z osiedlem od początku lat 60. Wtórjuje mu, również urodzona na Jazdowie, mieszkanka domku obok:

Tu cudowni ludzie mieszkali, na poziomie wszystko. Mieszkał tutaj architekt słynny, Skibniewski przecież, niedaleko, parę kroków. Skibniewski, Marczewski, Marzyński – taki też, teraz on mieszka w Stanach Zjednoczonych i on jest operatorem filmowym czy reżyserem filmowym. Jeszcze raz podkreślam, tu wspaniali ludzie mieszkali, naprawdę na poziomie, artyści, architekci, plastycy.

A lokator, który sam o sobie mówi, że *wżenił się w Jazdów* w latach 90., opowiada o swoich sąsiadach tak:

To muszę przyznać, że to jest niesamowita wartość dla mnie, że poznałem tych ludzi. Tutaj mieszka mnóstwo świetnych ludzi.

Stwierdzenie to nie dotyczy zresztą wyłącznie znanych aktorów czy muzyków. Z równym rozrzewnieniem wspomina się dziś np. pana Darka, wieloletniego dozorcę i jednocześnie mieszkańca osiedla, który kilka lat temu stracił posadę na rzecz specjalistycznej firmy.

Tu nigdy w życiu nikt tego nie dojrzy, tak jak on doglądał

– przekonuje jeden z mieszkańców i uzasadnia:

Bo on zawsze przychodził, dzwonił do mnie: „Ty, światło ci się pali na ganku”, nie? Na tej zasadzie, prawda? To nikt teraz z firmy, która przyjeżdża jakaś sprzątająca, nie zadzwoni do mnie i nie powie „Ty, światło zostawiłeś na ganku”, prawda? No, to jest logiczne, nie? Albo: „Bramę masz otwartą”, nie... Albo „Ktoś cię szuka”. To wie pan, to jest takie ważne, bo to było takie strasznie rodzinne.

Albo pana Witka, który miał wspaniały ogród owocowo-warzywny, a nawet szklarnie, i u którego zaopatrywali się sąsiedzi.

Tę rodzinność Jazdowa do dziś się zresztą wyczuwa. Czuli to w swoim czasie wszyscy wprowadzający się na osiedle *napływowi* lokatorzy, czuliśmy to także my, odkrywający osiedle etnografowie, którym rozmówcy polecali, by koniecznie odwiedzić panią Wandę, porozmawiać z tym i z tamtym, a nawet przekazywali kontakty do dawnych sąsiadów, którzy już się wyprowadzili (mieli je!). Właściwie wszystkie osoby, które na przestrzeni kilku dekad sprowadziły się na Jazdów, od pierwszej chwili odbierały nowych sąsiadów bardzo pozytywnie:

Więc jak żeśmy przyszli tutaj, to wiadomo. Nad sobą nikogo, pod nami nikogo. Aczkolwiek sąsiedzi tacy wydawali mi się przyjaźni, bo tak od razu z nami rozmawiali. Potem się okazało, że, że na osiedlu no fajnie się żyje

– opowiada jedna z młodszych stażem mieszkank.

Niektórzy uważają, że to zasługa pewnego podobieństwa mieszkańców i ich stylu życia. Jedna z młodszych osób związanych z osiedlem zauważa, że

ono skupia takich wykształconych, fajnych ludzi, w bardzo podobnym klimacie, tak. Chociażby nie wiem, młodzi ludzie, z którymi ja się znam: ja studiuje wnętrza, kolega architekturę obok, tam dziewczyny też są plastykami, więc wszystko jest w obrębie... mój dziadek też był malarzem, malował... Więc to wszystko jest bardzo w takim, powiedzmy, artystycznym świecie.

Inni zwracają raczej uwagę na fakt częstego organizowania przeróżnych imprez, zawsze otwartych dla wszystkich sąsiadów, także tych nowych, których chętnie przyjmowano do swego grona:

Oni byli tak zżyci i tutaj to były wieczne imprezy. Raz w jednym domku, w drugim, trzecim. To była jedna wielka rodzina. Takie było życie. Wiadomo, za komuny było ciężko, czy jeszcze wcześniej, ale było tak rodzinnie. Ciepłej, serdeczniej. Ja na przykład, jak oni nas zaprosili pierwszy raz, od tamtej pory ja naprawdę się żyłam z sąsiadami

– opowiada działaczka Stowarzyszenia Mieszkańców Domków Fińskich Jazdów, która na osiedlu zamieszkała stosunkowo późno, a dziś jest jedną z największych lokalnych patriotek. W sytuacji realnego zagrożenia likwidacją osiedla i wyprowadzek kolejnych sąsiadów, na których miejsce nie wprowadzają się jak dawniej nowi lokatorzy, mieszkańcy szczególnie podkreślają wartość wspólnoty, która wytworzyła się przez lata na Jazdowie.

Cienie, czyli sąsiedzkie pogotowie ratunkowe

Podobno nic tak nie jednoczy jak wspólne problemy. W pierwszych latach powojennych pożyczano od sąsiadów balie, potem kłopoty były inne. Mroźne zimy, w tym zima stulecia w 1978 roku, przynosiły nagminne awarie elektryczności spowodowane przeciążeniem sieci z powodu dogrzewania domków elektrycznymi piecykami. Zamarzały też rury.

Był taki moment, że jak były duże mrozy, to zamarzała rura pod wanną. No i wołałam sąsiada z lutlampą: „Stefan, zamarzło mi!”, no i przychodził z lutlampą,trzymał parę minut, no i puszczało mi

– wspomina jedna z mieszkanek.

Także z awariami elektryczności radzono sobie w ramach sąsiedzkiej pomocy. Kilka osób wspominało sytuację, kiedy w samo Boże Narodzenie cały Jazdów pogrążony był w ciemnościach, ponieważ gałąź spadająca pod naporem śniegu zerwała doprowadzającą linię elektryczną.

To były święta, więc żaden zakład energetyczny nic nie chciał wziąć, myśmy się składali i jakoś prywatnie tam nam to światło połatali

– opowiada jeden z rozmówców, którzy już się z osiedla wyprowadzili.

Specyficzną uciążliwość zarośniętego i niepogrodzonego jeszcze Jazdowa stanowili tzw. podglądacze. I z nimi radzono sobie wspólnie. Przeganiano, doprowadzano do milicjantów stojących przed ambasadą francuską.

Biedni byli ci podglądacze, bo dostawali tutaj ciągle łomot

– podsumowuje tę sferę sąsiedzkiej pomocy jeden z rozmówców.

Sąsiedzka pomoc przydawała się nie tylko w sytuacjach ekstremalnych, jak siarczyste mrozy czy najścia intruzów. Także na co dzień można sobie dzięki niej ułatwić i umilić życie. Jazdowianie pilnowali wzajemnie swoich domków w czasie nieobecności.

Do tej pory nawet i klucze sobie zostawiamy. I na wszelki wypadek, żeby listy wyjąć ze skrzynki, żeby nie były, ale klucze też zostawiamy. Jak, powiedzmy, wyjeżdżamy i nikogo nie ma, no to tak, na wszelki wypadek

– tłumaczy wieloletnia lokatorka jednego z domków. Słucham i znowu myślę, że to chyba nic nadzwyczajnego. Jednak po chwili orientuję się, że pomoc sąsiedzka na Jazdowie także w kategorii „pilnowanie domu pod nieobecność sąsiada” wykracza poza zwykłą uprzejmość.

Nawet jak sąsiedzi w zimie wyjeżdżają, no pojechali na narty, prawda. No to ze dwa razy w ciągu tego tygodnia to nawet Andrzej chodził przepalić, żeby, prawda, nic tam nie pozamarzało. No jak sąsiedzi mają wrócić, to już cały dzień palimy w kominku, że wracają i mają ciepło, a nie do zimnego domu

– opowiada dalej ta sama rozmówczyni.

Sąsiadki pomagały sobie w opiece nad dziećmi, więc kolejne pokolenia mieszkańców osiedla wychowywały się razem i były zżyte od najmłodszych lat.

Przed wszystkim dzieci chodziły do jednej szkoły. Moja córka na przykład ma – chodziły już później do dwunastki³ – to ma mnóstwo tu znajomych i do tego stopnia, że na przykład, państwa Baumillerów córki, uważała nieomal za siostry

– mówi matka dzieci wychowanych w latach 70. Z kolei w latach 80.

3 Szkoła podstawowa nr 12 przy ul. Górnośląskiej 45, znajdująca się na skraju osiedla Jazdów.

koło dziesięciorga dzieci było mniej więcej w tym samym wieku. O, była różnica dwa lata. Więc one razem praktycznie wszystkie razem tutaj latały, bawiły się. Nawet były takie sytuacje, że na przykład ja brałam sąsiadki dzieci na cały dzień. Dawałam im jeść, a następnego dnia ona brała. Żeśmy się zamieniały i no, tak żeby sobie pomóc, prawda

– wspomina inna rozmówczyni i opowiada o sąsiedzie, który w dzieciństwie tak bardzo potrzebował towarzystwa rówieśnicy przy jedzeniu, że skończyło się to wspólnym jądaniem obiadów:

Te dzieciaki tutaj wszystkie się razem bawiły po ogródkach, po domkach siedziały. Raz tu, raz tam. U jednej, u drugiej, u trzeciej sąsiadki. Jedna sąsiadka, była różnica chyba miesiąc między Kasią a Jaśkiem i on był strasznie niejadek. Więc sąsiadka przychodziła o pierwszej do mnie na obiad z Jasiem. Sadzała Kasię i Jasia i Jaś jadł zupę razem z Kasią i to był jedyny posiłek, który zjadał normalnie.

Mieszkańcy wymieniali się także przepisami kulinarnymi. Jedna z pań nauczyła się od sąsiadki pieczenia chleba, a inna – w ogóle gotowania.

Ja nie umiałam gotować, to jak ugotowałam to szłam z jedzeniem i mówiłam „Pani spróbuje, czy dobrze ugotowałam” – „Świetnie, na piątkę”. I tak się nauczyłam

– najstarsza lokatorka wspomina ze śmiechem swoje pierwsze lata na Jazdowie.

Najbardziej rozpowszechnioną formą sąsiedzkiej pomocy są chyba drobne pożyczki artykułów w rodzaju soli czy zapatek. Ten system wzajemnej wymiany dóbr od lat funkcjonuje na Jazdowie i ma się dobrze. Zasada jest taka, że nigdy nie oddaje się „długu” w tej samej postaci, w jakiej go zaciągnięto, po prostu wiadomo, że w ogólnym rozrachunku to wszystko i tak się wyrówna. Jeden z rozmówców tłumaczy to następująco:

Nie ma problemu z pożyczaniem czegoś. Znaczący nawet się nie pożycza. Tzn. ja pożyczam, ale nie muszę oddawać. Tak samo my, jak ktoś po coś przyjdzie, no to pożyczę, ale nie mam potrzeby, żeby oddawać.

Potwierdza to jego sąsiadka z za płotu:

Pożyczamy sobie jajko, kostka do zmywarki mi się skończyła, to poleciałam pożyczyć, wiadomo, że nie oddam tej kostki. Ale zawsze tutaj tak było.

Blaski, czyli wieś w centrum miasta

Jak mówią mieszkańcy, nie było jednak tak, że o sąsiadach przypomiano sobie tylko, gdy potrzebna była pomoc czy pożyczka.

Mieszkańcy zapraszali się na imieniny, brydże, grille, wódeczki, organizowali wspólne śledziki i jajeczka, a nawet andrzejkowe wróżby.

Za każdym razem jakieś – czyjeś czy urodziny, czy imieniny, czy jakieś sukcesy, które były, że tak powiem, zawsze tutaj obławane przez wszystkich. Wszyscy po prostu się cieszyli z tego, że ktoś coś...

– opowiada mieszkaniec jednego z domków i dodaje, że

charakterystyczną taką cechą Jazdowa zawsze było to, że nie trzeba było być na nic zapraszany. Po prostu się brało flaszkę i się szło.

W czasach, gdy domków było jeszcze dużo, dotyczyło to głównie najbliższego sąsiedztwa lub tej samej grupy wiekowej. Dziś, gdy mieszkańców została garstka, bywa, że np. na spotkaniach wigilijnych zbierają się wszyscy.

Zawsze częstowano się też plonami z ogródków. Celowali w tym wspomniani już właściciele szklarni, państwo Witkowie. Ich najbliższa sąsiadka wspomina:

Tutaj obok sąsiadka miała najlepsze pomidory w całej Warszawie. Szklarnię też mieli. Jak Kasia się urodziła, to oni mieli marchewkę, pietruszkę, buraczki, więc ja do nich chodziłam po marchewki i warzywa na zupełę. Nawet kury były w pewnym momencie. Także nawet czasem jajeczko dostałam dla Kasi.

Warzywa miała też w swoim ogródku pani Wanda, najstarsza mieszkanka osiedla. Opowiada, że na marchewce i pietruszce z jej ogrodu wychowała się dorosła dziś córka sąsiadów. A znów po rabarbar, dziko



Słynne wśród sąsiadów pomidory z ogródka państwa Witków. Źródło: archiwum rodziny Witków

rosnący w kącie ogrodu, co roku przychodził sąsiad, który był wielkim amatorem rabarbarowego kompotu.

Tam za domem taaakie chrzanowe liście rosty, takie piękne!

– snuje swoją opowieść starsza pani –

Tu i tam u pana Witka rosty i kto kwasił sobie ogórki, to zawsze: „Pani Wando, poproszę takie liście!”, do tego kwaszenia.

To było zupełnie naturalne, choć rozgrywało się w centrum Warszawy, tuż za ogrodzeniem eleganckiego Parku Ujazdowskiego, w sąsiedztwie Sejmu i ambasad.

O Jazdowie często mawia się, że jest wioską w centrum miasta. Ten wiejski charakter z jednej strony nadaje osiedlu bogata flora i fauna, z drugiej natomiast charakter relacji międzyludzkich.

Bardzo wiele osób z różnych instytucji społecznych, które do nas trafiają, jest zaskoczonych. Tu jest taka komuna, że w zasadzie ona powinna istnieć w jakiejś małej miejscowości. Ona nie ma racji bytu w mieście. Bo ludzie w jednej kamienicy nie mają takich bliskich stosunków jak tutaj

– zapewnia lokator jednego z domków.

Ta „wiejskość” Jazdowa nie ogranicza się tylko do wiedzy, kto gdzie mieszka, bo mimo wszystko jeszcze w bardzo wielu blokach czy kamienicach mieszkańcy się znają. To bardziej pewne formy komunikacji, wynikające z charakteru zabudowy i rozplanowania przestrzeni, upodabniają osiedle do wsi czy prowincjonalnego miasteczka.

Tutaj otworzyło się drzwi, otworzyło się furtkę, każdy przechodził. Dzieci miały kolegów z przedszkola, więc co chwilę ktoś się zatrzymał, rozmawiał. To wleciał na podwórko. Więc ten dom był

taki, taki wesoły. No... No i mówię, poza tym to, że nawet ludzie zatrzymując się, pytając się. Właściwie te rozmowy czasami to się przeciągały. To nie było tak, że... dwa słowa i już. Czegoś takiego nie ma w blokach. Jak się mieszka. Trochę tak jak na wsi. Mówię, człowiek żyje w środku miasta i nagle coś takiego spotyka. Ale tu jest tak jak na wsi. Spokój. Przyroda. I takie, takie też relacje z sąsiadami. Takie też trochę może bardziej zażyłe i też, mówię, no, spotykając się czy mijając się, zawsze człowiek o czymś tam porozmawia. Bo to nie było tylko tak, że „dzień dobry”

– wspomina z sentymentem rozmówczyni, która już na Jazdowie nie mieszka.

Tu sąsiedzi na zasadzie krzyku porannego wołali siebie nawzajem na kawę

– opowiada inny lokator, a jego córka dodaje:

to było standard, że codziennie wpadamy do siebie na kawę i codziennie pogadamy... i że wiemy na bieżąco, co u nas słychać. Czy też standardem było to, że ktokolwiek z nas robił imprezę, to po prostu się przychodziło. Zresztą my do tego stopnia, że z sąsiadami moimi zrobiliśmy sobie furtkę pomiędzy, żeby nie musieć chodzić naokoło, to po prostu, żeby szybciej do siebie przychodzić.

Czyli tak jak na wsi

– podsumowuje pani Beata, prezeska Stowarzyszenia Domków Fińskich Jazdów.

Po prostu jesteśmy taką... można iść pożyczyć od sąsiada jajko, można iść założyć latem kostium i posiedzieć sobie na leżaczku, można pogadać sobie wieczorem czy zrobić sobie jakiegoś grilla. Coś potrzeba, czegoś brakuje, ktoś jest chory, to wystarczy poprosić.

Także tego będzie mi brakowało. Nie ma tego w blokach. Nigdzie tego nie ma

– mówi z przekonaniem.

W Warszawie jest jeszcze co najmniej kilka innych kameralnych, zielonych osiedli, są miejsca zamieszkiwane przez ludzi tworzących rzeczywiste wspólnoty, jest osiedle „Przyjaźń” na Jelonkach, które podobnie jak Jazdów składa się z fińskich domków. Jednak dla mieszkańców Jazdowa ich osiedle jest miejscem jedynym w swoim rodzaju. Tylko tu czują się u siebie i czują się częścią większej zbiorowości mieszkańców – znajomych, wśród których są bezpieczni, do których mogą zwrócić się o pomoc, z którymi lubią spędzać czas.

Konflikt, czyli o czym nie usłyszeliśmy

O konfliktach z sąsiadami nie usłyszeliśmy właściwie ani razu. Trudno uwierzyć, że przez blisko 70 lat istnienia osiedla naprawdę nigdy ich nie było. Może to kwestia selektywnej pamięci, która każe nam wyrzucać wszelkie nieprzyjemne wspomnienia, a pielęgnować to, co dobre? Może mitologizowanie rzeczywistości i czasów młodości? A może zwykła lojalność wobec reszty osiedlowej wspólnoty, by nie wywlekać brudów przy obcych?

Nigdy w życiu nie było tu żadnych sensacji

– zapewniano nas –

nie było jakichś problemów, że nie wiem, ktoś kogoś spalił, albo ktoś komuś coś zrobił złośliwie. Sąsiedzi między sobą wspaniale

współżyli. Wszyscy się znamy, każdy wie o każdym wszystko. Więc – super, naprawdę super. Nie ma nieszczerości. Bo to jest małe osiedle, niewielu ludzi, ale naprawdę wszyscy się znają, wszyscy się szanują, lubią. Oczywiście, były akcje, że jeden drugiemu nawkładał. Następnego dnia przychodził do niego z flaszką i... Nawet nie po to, żeby przeprosić. Bo nie trzeba było przeproszać. Siadało się, piło się

– wspomina rozmówca mieszkający na Jazdowie od lat 60.

Od innego z mieszkańców usłyszeliśmy zabawną historię dotyczącą stosunków sąsiedzkich:

Trochę to było sporną sprawą, bo czereśnia taka rosła tutaj i w ogóle nikt nie rościł sobie do tego pretensji, ale zawsze ze starszą panią, tą panią weterynarz [sąsiadką zza płotu], która zawsze pomawiała nas, że te szpaki, które dziobią te czereśnie, pluja pestkami na ich stronę

– śmieje się rozmówca, po czym zupełnie poważnie dodaje:

Znaczy nie było konfliktów, żadnych konfliktów takich, tylko po prostu rzeczywiście było to niezbyt polityczne, że te ptaki pluły tam. Ale było bardzo, bardzo zgodnie tutaj, nie było... to pierwsze pokolenie tych architektów i urbanistów było bardzo, że tak powiem, zżyte ze sobą.

Młodszy mieszkańcy zapewniają, że tak jest i dziś:

To jest niesamowite. Życzliwość, pomoc, w każdej sytuacji możemy liczyć na sąsiadów. I to w różnych – czy dzieckiem się zaopiekować, czy zakupy komuś zrobić, czy pomóc, czy przychodzi właśnie pani Wanda czasami i „Marcinku, bo butli nie mogę wymienić”, no to człowiek... odśnieżanie, no to to wszystko sami tutaj robimy.



Noc Muzeów 2013. Fot. Michał Głuszek

I nie ma to jakiegoś tam, co kto tam uważa, to pomagają w miarę możliwości.

W 2011 roku mieszkańcy założyli Stowarzyszenie Mieszkańców Domków Fińskich Jazdów. Od tego czasu na osiedlu podjęto wiele aktywności z oddolnej, sąsiedzkiej inicjatywy. W 2012 i 2013 roku mieszkańcy własnymi siłami zorganizowali na Jazdowie atrakcje w ramach dorocznego wydarzenia kulturalnego, jakim jest Noc Muzeów, wzięli też udział w festiwalu „Mieszkania Otwarte”, w ramach którego oprowadzali zainteresowanych po opuszczonych domkach. Cyklicznie powtarzana jest wyprzedaż garażowa pod nazwą „Jazdowisko”. Mieszkańców zostało tu niewielu, ale są to ci najbardziej zaangażowani w sprawy osiedla, tacy, którym, jak to mówią, chce się chcieć.

I każdy wie, co, jak. No, tak jak jedna wielka rodzina

– przekonuje jedna z mieszkank.

I tak naprawdę, jeżeli [osiedle] zniknie, znikną stąd mieszkańcy, to tego najbardziej będzie mi brakowało. Zżyłam się strasznie z ludźmi

– wzdycha prezeska Stowarzyszenia.

Razem ale osobno, czyli sąsiedztwo po jazdowsku

Obecnie jedenaście z dwudziestu siedmiu domków stoi opuszczonych⁴. Mieszkańcy obawiają się, że wkrótce przyciągną amatorów taniego wina, wandalów czy bezdomnych, którzy mogą zaproszyć ogień, a w końcu całe osiedle to drewniaki, które płoną błyskawicznie. Mieszkańcy Jazdowa coraz mocniej odczuwają brak sąsiadów. Osiedle nie wyludnia się jednak równomiernie, najwięcej opuszczonych domków stoi na jego obrzeżach, co dodatkowo sprzyja włamaniom.

Na kilka letnich miesięcy miasto oddało niezamieszkałe domki pod opiekę kilkunastu warszawskich organizacji pozarządowych. Ta akcja, znana pod nazwą „Otwarty Jazdów”, przyciągnęła na osiedle sporo ludzi, było głośno i tłoczno, zwłaszcza w weekendy. Mieszkańcy odnoszą się jednak z sympatią do rozlokowanych w domkach organizacji. Po pierwsze dlatego, że ich obecność zwiększa poczucie bezpieczeństwa, sprawia, że opuszczone domy nie są pozbawione opieki, po drugie członkowie organizacji odnoszą się z sympatią do Jazdowa, dbają o przestrzeń, którą im powierzono, zachowują się jak sąsiedzi, nie jak intruzi.

⁴ Stan na dzień 23 lutego 2014 roku.

Wchodzą w interakcje z mieszkańcami, jednak nie naruszają granic ich prywatności. Wpisuje się to w przedstawiany przez rozmówców ogólny obraz atmosfery na osiedlu.

Fenomen tego osiedla też polega na tym, że wszyscy ze wszystkimi, a jednak każdy troszeczkę u siebie. Są te żywopty, więc tak naprawdę jak coś się dzieje u kogoś, to dzieje się u niego. To nie jest jak w bloku, że jak dzieje się impreza, to bierze udział cały blok, czy chce, czy nie chce. A z drugiej jednak strony, jak trzeba nożyce, coś rozebrać, coś przenieść. Klucze nam sąsiadka podrzuca, jak jej córka ma przyjechać. Tak jak mówię. Każdy u siebie, a jednocześnie wszyscy razem. To tak z całym szacunkiem to działa

– podsumowuje stosunki sąsiedzkie na Jazdowie jeden z rozmówców.

Takie wyjątkowe społeczeństwo tworzymy

– mówi inny.

Mieszkańcy Jazdowa są sąsiadami z prawdziwego zdarzenia: lubią przestrzeń, w której przebywają, i troszczą się o nią. To właśnie klucz do tego, co łączy dziś wszystkich mieszkańców osiedla domków fińskich przy ulicy Jazdów: lubią to miejsce, dobrze się w nim czują, niezależnie od tego, czy mieszkają tu kilka, kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat, czy są jazdowianami w pierwszym, drugim, czy trzecim pokoleniu, czy się tu urodzili, wżenili, czy po prostu sprowadzili. Sąsiedzkość na Jazdowie to szczególny stosunek do przestrzeni, w której się żyje, oraz silnie rozwinięta świadomość tworzenia wspólnoty.

Małgorzata Kunecka – warszawianka, która lubi odkrywać różne oblicza swojego miasta. Absolwentka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, pracuje w Państwowym Muzeum Etnograficznym. Lubi stare domy, stare przedmioty i zgłębianie ich historii.

Literatura

Bańko M. [red.]

2000 *Inny słownik języka polskiego PWN*, Warszawa

Górny Ujazdów zamieszkanym

1945 *Górny Ujazdów zamieszkanym*, w: *Życie Warszawy*, 25.08.1945, nr 234, s. 1

Górski J.

1976 *Drugie narodziny miasta. Warszawa 1945*, Warszawa

K.W.K.

1946 *Mieszkam w domku fińskim*, w: *Stolica*, 08-15.12.1946, nr 6, s. 2.

Majewski J.S., Markiewicz T.

1998 *Warszawa nieodbudowana*, Warszawa

wr,

1945 *Pierwsi lokatorzy domków fińskich. Na Ujazzdowie Górnym pulsuje już życie*, w: *Życie Warszawy*, 16.07.1945, nr 194, s. 6

<http://isap.sejm.gov.pl/DetailsServlet?id=WDU19460040027>



Wieś w środku miasta

Relacje mieszkańców Jazdowa z przyrodą

Jagna Jaworowska

W 1999 roku stołeczny dodatek do „Gazety Wyborczej” ogłosił konkurs „Moje miejsce magiczne”, w ramach którego czytelnicy przesyłali opisy mniej lub bardziej znanych niezwykłych zakątków Warszawy. Jedną z osób, które wzięły udział w konkursie, był 67-letni Jerzy Hartwig. W swoim liście przedstawił się jako *warszawiak z dziada pradziada*, znający dobrze Warszawę *tę najstarszą i tę nowo wznoszoną*. Jak zaznaczył, choć opisywane przez pozostałych czytelników miejsca były bardzo interesujące, to podobne można zobaczyć także i w innych polskich miastach. Istniało jednak jego zdaniem w Warszawie miejsce wyjątkowe i niezwykłe, prawdziwie magiczne, którego nigdzie indziej w Polsce, a prawdopodobnie nawet w żadnej

innej europejskiej stolicy, się nie znajdzie. Miejscem tym było osiedle domków fińskich na Jazdowie:

Opodal ruchliwej Trasy Łazienkowskiej, około 100 metrów od placu Na Rozdrożu czy Alej Ujazdowskich, z gęstej parkowej zieleni wyłania się sielski krajobraz. Odnosi się wrażenie, że nagle ktoś zaczarowaną różdżką przeniósł nas z centrum stolicy do spokojnej wiejskiej przystani. Iluzja zupełna! (Hartwig 1999)

Choć Jerzy Hartwig opisał osiedla domków fińskich ponad dekadę temu, to wizja, jaką nakreślił, nadal jest popularna. Gdy pod koniec 2011 roku rozgorzał trwający do dzisiaj spór o to, czy enklawę Jazdów należy zachować, w wielu artykułach prasowych można było odnaleźć wątki występujące w liście Hartwiga. W tygodniku „Polityka” Joanna Solska pisała o Jazdowie i skarpie wiślanej:

nie ma piękniejszego miejsca do mieszkania (2011).



Fot. Jagna Jaworowska

Dariusz Bartoszewicz z „Gazety Wyborczej” określił osiedle domków fińskich jako *rajski adres* (2012). Wojciech Kacperski, felietonista „Kultury Liberalnej”, przyrównywał spacer po Jazdowie do wejścia w inny wymiar – wymiar

innej rzeczywistości miejskiej – podmiejskiej, sielskiej, spokojnej, gdzie można było znaleźć

ciszę, zapach suszącego się na wietrze prania, dużo zieleni i nastrój znany z weekendowych wypadów za miasto (2012).

Patrycja Bukalska z „Tygodnika Powszechnego” zachwycała się natomiast Jazdowem w zimie, mówiąc o

drewnianych domkach jak z bajki i nierealnej pięknej scenerii (2013).

Jazdów w ramach tych narracji przedstawiany jest jako miejsce „nie-miejskie”. Jeśli wspomina się o sąsiedztwie Sejmu, Pałacu Ujazdowskiego, Trasy Łazienkowskiej i Alej Ujazdowskich, to przede wszystkim dla wydobycia kontrastu między ich „śródmiejskością” a *sielskością* czy *wiejskością* osiedla. Podkreśla się panującą na Jazdowie *spokojną* atmosferę, położenie wśród drzew i krzewów. Zwraca się uwagę na wygląd i stan domków fińskich, które przez zwolenników określane są jako *urokliwe chatki*, przez przeciwników zaś jako wymagająca remontu, a może wręcz rozbiorczy, *zabudowa tymczasowa*.

Także pierwsze plany władz dzielnicy wobec Jazdowa z 2011 roku – przeznaczenie tego terenu pod budowę ambasad lub instytucji rządowych – można interpretować jako próbę uczynienia tego miejsca bardziej „miejskim”. Jak komentowała te projekty Ewa Kuryłowicz, profesor Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej:

miasto ma prawo się rozwijać (cyt. za: Wojtczuk 2011).

Ja trafiłam na Jazdów w 2013 roku. W trakcie etnograficznych badań miałam okazję zobaczyć, jak opowieść o „nie-miejskości” Jazdowa sprawdza się w praktyce i jakie kryją się za nią emocje, wspomnienia i odczucia. Interesowało mnie, jak bardzo tej *sielskości*, zanurzenia w przyrodzie i *niezwykłości* czy *bajkowości* doświadczają sami mieszkańcy Jazdowa. Wraz z innymi osobami pracującymi przy badaniach rozmawiałam zarówno z lokatorami domków, którzy jeszcze tam mieszkali, jak i z tymi, którzy już się wyprowadzili. Skupiłam się na osobistych doświadczeniach związanych z życiem na osiedlu, takich jak zapach dymu z kominów, spędzanie czasu na zewnątrz czy odgłosy zwierząt dochodzące ze strychu. W moim artykule staram się zrekonstruować, co byli i obecni mieszkańcy osiedla mają na myśli, przyrównując życie na Jazdowie do pobytu na wsi, w kurorcie, w lesie, czy w sanatorium.

Zielony raj

Na położenie i otoczenie Jazdowa zwracano uwagę prawie od samego początku istnienia osiedla.

Najkorzystniej [ze wszystkich osiedli domków fińskich] zostało umieszczone osiedle na Górnym Ujazdowie, liczące 90 domków. Stare, wspaniałe drzewa, które ocalały w pożodze, i krzewy używały w lecie cienia i zastaniały przed kurzem, w maju nawet słowiki zawodziły swoje trele

– pisała w „Stolicy” w 1946 roku mieszkanka domków fińskich kryjąca się pod inicjałami K.W.K.

Oo, zieleń była ogromna!

– wspomina jedna z byłych lokatorek. Domek, w którym mieszkała



Fot. Jagna Jaworowska

z mężem przez ponad 50 lat (wyprowadzili się pod koniec lata 2013 roku), najpierw zajmował jej wuj, architekt Jerzy Gieysztor¹. Jak opowiada, wprowadzając się na Jazdów w 1945 roku, pierwsi mieszkańcy najchętniej wybierali domki położone, tak jak jej, w zadrzewionej części osiedla przy Parku Ujazdowskim. Stopniowo teren porządkowano, przybywało nowych roślin i z czasem zielono było już wszędzie. Ludzie sadzili róże, tulipany, jesiony, jabłonie, grusze i orzechy.

Na przykład ten klon

– wskazuje rozmówczyni na drzewo stojące przed domkiem, w którym kiedyś mieszkała –

mój wujek zasadził.

1 O Jerzym Gieysztorze przeczytasz więcej w tekście Katarzyny Kuzko *Warszawa w budowie, czyli jak powstawał „praski MDM”* w trzecim numerze „Etnografii do kieszeni”.

Dziesięć lat po wybudowaniu osiedla, w 1955 roku, w „Stolicy” ukazał się artykuł „Drzewa na warszawskiej ulicy”, którego jedną z ilustracji stanowiło właśnie zdjęcie jazdowskiego domku. Na fotografii widać zaledwie kawałeczek okna, a resztę budynku przysłaniają rozłożyste krzewy głogu. W porównaniu z równo posadzonymi szpalerami drzew, które pokazano na pozostałych ilustracjach, jazdowski głóg sprawia wrażenie nieokiełznanego. Była lokatorka, bratanica Jerzego Gieysztor, przyznaje, że przez długi czas Jazdów pozostawał *raczej zarosnięty*:

Wszyscy [teraz] mają bardzo pięknie. Wtedy tak nie było. Absolutnie. Po prostu było tak normalnie. Był trawnik koszony kosą. Były krzewy. Domki stały właściwie w takim jaskby parku.

Inni mieszkańcy opisują ówczesny Jazdów jako *tajemniczą zieloną dżunglę, zielony raj czy dzikość w środku miasta*.

Ptaki zamiast telewizora

Zarośla Jazdowa upodobały sobie ptaki: sikorki, gile, kosy, a w przeszłości także bażanty, dudki i dzięcioły. Na osiedlu pojawiają się regularnie kaczki, kursujące między Parkiem Ujazdowskim a Kanałem Piaseczyńskim. Spacerowicze mogą się natknąć na małe zwierzęta miejskie: kuny, jeże (których jest, cytując jednego z rozmówców, *do diabła i trochę*), wiewiórki. W domach często zimują myszy, można też spodziewać się wizyty szczura. W niektórych ogródkach, np. przy domku 3/8 w północnej części osiedla, mieszkają traszki – małe, brązowe płazy o złotych oczkach, z biało-pomarańczowymi nakrapianymi brzuskami. Z kolei domek 7/30, nieopodal ambasady francuskiej, co roku na wiosnę i w lecie

przeżywa oblężenie dużych czarnych ślimaków bez skorupki, które, jak mówią mieszkańcy, niszczą wszystkie kwiaty.

Nie byliśmy na to przygotowani, że tu jest tyle zwierząt! Człowiek idzie alejkami [w parku], to czasem widzi wiewiórkę, jakiegoś ptaszka i nic poza tym. A tam jak żeśmy zaczęli mieszkać, to człowiek zaczął obserwować przyrodę

– wspomina swoje zaskoczenie różnorodnością jazdowskiej fauny rozmówczyni, której rodzina wprowadziła się do domków fińskich jako ostatnia, w 2006 roku, a wyprowadziła w 2012. Żartuje, że gdy mieszkała na Jazdowie, nie potrzebowała telewizora – wystarczyło wyjrzeć przez okno i poprzyglądać się ptakom polującym na robaki czy wiewiórkom harującym na drzewach.

Szklarnie, świnia, ule i orzechowe ciasteczka, czyli przydomowa produkcja

Na początku istnienia osiedla wielu mieszkańców zakładało warzywne i owocowe przydomowe ogródki. Na grządkach uprawiane były pomidory, sałata, cebula, marchewka, pietruszka, chrzan, rabarbar. Mieszkańcy chętnie sadzili maliny. Przy domku 3/12 w północnej części osiedla stały szklarnie. Jak wspomina przedstawicielka trzeciego pokolenia mieszkającego pod tym adresem, wnuczka kopisty² z Biura Odbudowy Warszawy:

2 Kopista – osoba, która przygotowuje duplikaty dokumentów, planów lub schematów.

Cała ta część za domem była warzywna. Wszyscy sąsiedzi się tutaj zaopatrywali: nowalijki, pierwsze ogórki, pierwsze pomidory. Działek miał dwie szklarnie i wszędzie grządki: rzodkiewka, sałata, wszystko. Bardzo to lubił. Taki odpoczynek po pracy. No, i to był dodatkowy dochód.

Choć na przestrzeni czasu warzywa ustępowały miejsca kwiatom, w ostatnich latach na osiedlu nadal pieczono ciasteczka z orzechów włoskich z własnego ogródka, zjadano się jazdowskimi jabłkami – koksą i papierówkami. Sadzono rukolę, miętę, sałatę i bazylię. W jednym z domków wyrabiano też domowe wino z jazdowskich winogron. Jak wspomina wytwórca:

zawsze za dużo i trzeba było wylewać, bo, po pierwsze, winogron można było zebrać w jednym sezonie nawet 100 kilo, a po drugie, wszyscy znajomi przyjeżdżali w odwiedziny samochodami i nie pili.

Na Jazdowie zdarzały się także hodowle zwierząt. Zazwyczaj były to zwierzęta niewielkie: kury, gęsi czy króliki, ale dozorca Jazdowa trzymał także świnie. Według rozmówczyni, która mieszkała na osiedlu od początku lat 50., minihodowle skończyły się wraz z nadejściem lat 60.:

A później to powoli je likwidowano, bo czasy były niby gorsze, ale lepsze. Bo już człowiek dorastał do pewnych wygod, bo były bardziej dostępne te wszystkie produkty, prawda? Więc likwidował te zwierzęta.

Jednak kury na Jazdowie można było spotkać jeszcze i w latach 80.

Byłem poza Polską, ale jak przyjeżdżałem tutaj, to nagle okazało się, że budzi mnie kogut od państwa W. Bo oni sobie ten tzw. garaż dobudowali i tam pani W. zaradnie kurki hodowała. Więc to było dość niezwykle, bo na ogół nikt tu kur nie miał, no, ale to zaradna kobieta była i miała tutaj kury

– wspomina ze śmiechem rozmówca mieszkający na Jazdowie od ponad 45 lat.

Osiedle domków fińskich dorobiło się także własnej pasieki. Założył ją inżynier interesujący się pszczelarstwem, który mieszkał na Jazdowie od początku lat 60. Ilość uli zmieniała się na przestrzeni lat w zależności od tego, ile czasu mógł im poświęcić. Najwięcej było ich 15, najmniej – 2. Jak opowiada jego żona:

Ule w Warszawie mają to do siebie, że wbrew pozorom są bardziej ekologiczne, mimo tego, co się tutaj dzieje, aniżeli na wsi. My mamy taką chałupkę na wsi i tam prawie nie ma miodu. Dlatego że chłopci, siłą rzeczy, posypują tam różnymi chemikaliami i te pszczoły się niszczą. A nawet jak przylecą do ula, to ten miód jest, szczerze mówiąc, nienajlepszej jakości. A tutaj! Zbadaliśmy nasz miód. I okazało się, że jest najwyższej klasy. O wiele lepszy aniżeli ten wiejski.

Małżeństwo zlikwidowało pasiekę przed swoją wyprowadzką z Jazdowa w 2013 roku.



Fot. Jagna Jaworowska

Relaks w pięknych okolicznościach przyrody

Dla wielu mieszkańców Jazdów stanowi *oazę spokoju*. Ludzie wychodzą rano do ogródka, piją kawę, jedzą śniadanie. Oglądają potyczki jeży, które ofukując się, walczą o zostawioną dla nich wędzoną szprotkę. Wylegają się w hamakach. Z dumą odkrywają nowe pączki na posadzonych przez siebie kwiatach. Choć w tle słychać szum z Trasy Łazienkowskiej, mieszkańcy osiedla tak się do niego przyzwyczaili, że nie zwracają na to uwagi.

To jest niezwykle, że wszyscy mówią: „Jezus Maria, jak tu głośno”, jak tu czasem w ogródku się siedzi, a my tego nie słyszymy

– opowiada pan mieszkający na Jazdowie od początku lat 60. Jego żona dodaje ze śmiechem, że z hałaśliwości trasy zdała sobie sprawę dopiero, gdy pewnego dnia drogę zamknięto. Obudziła ją wtedy dojmująca cisza.

Za jedną z głównych zalet życia na Jazdowie lokatorzy uważają możliwość spędzania czasu na świeżym powietrzu. Jak tłumaczy jeden z naszych rozmówców:

Tak od wiosny do umiarkowanej jesieni, to tutaj życie odbywa się takim samym stopniu w domku, co i na zewnątrz.

Granice między domkiem i ogródkiem, wnętrzem i otoczeniem, zacierają się. Czasem to nie tyle ludzie wychodzą na zewnątrz, co przyroda wchodzi do środka.

Ponieważ ten domek ma swoje rozmaite szpary, więc w zeszłym roku okazało się, że jest straszny harmider gdzieś tam na strychu. Słychać pisk ptaszków. Okazało się, że one weszły taką szparą do

środku i tam w tym ociepleniu, które leży na stropie, uwiły sobie gniazdo. To były kosi i się straszliwie darty, to był wrzask jak cholera

– opowiada scenograf mieszkający na Jazdowie od 1963 roku. Inni rozmówcy wspominają o tupocie kun na strychu czy odgłosach ptaków w kominie.

Także rośliny, szczególnie dzikie wino i bluszcz, potrafiły „wchodzić” do środka pomieszczeń. Dowód tego stanowi anegdota opowiedziana przez historyka sztuki, który mieszkał w jednym z domków w północnej części osiedla od 1985 do 2012 roku. Odwiedzający go tam goście pytali, czy bluszcz, który widzieli pod sufitem, był prawdziwy, czy sztuczny (w łazience wisiał sztuczny; w innych pokojach, jeśli się pojawił, był żywy).

Problemy z naturą

Mieszkanie w *zielonym raju* posiada też pewne wady. Przede wszystkim, jak narzekają lokatorzy domków, w krzakach łatwo mogą ukryć się *podglądacze*, *ekshibicjoniści* i *pijacy*. Większość naszych rozmówców czuje się jednak na osiedlu względnie bezpiecznie, szczególnie po wybudowaniu ogrodzeń. Niemniej jedna ze starszych mieszkanek, której ciotkę kiedyś na Jazdowie napadnięto, woli wieczorem wychodzić z domu w towarzystwie męża lub psa.

Niebezpieczne mogą okazać się same drzewa. Jak narzekają mieszkańcy osiedla, administracja nie dba wystarczająco o teren Jazdowa i często nie wycina starych, spróchniałych drzew. W trakcie burz czy wichur łamią się konary, przewracają pnie. Szczególnie poszkodowana pod tym względem wydaje się być wspomniana już wcześniej rodzina, która

wprowadziła się na osiedle jako ostatnia. Przez 6 lat, które spędzili na Jazdowie, na ich posesję spadły aż trzy pnie. Jedno z drzew zważyło się na domek, co gorsza, stało się to w nocy, gdy spali. Drzewo zniszczyło dach i wybiło okno. Szczęśliwie nikomu nic poważnego się nie stało.

Mieliśmy problem z naturą. Chyba nas te drzewa nie za bardzo lubiły

– śmieje się żona i mama, lecz przyznaje, że do dziś, choć mieszka już w bloku, ciągle reaguje nerwowo, gdy nadciąga burza.

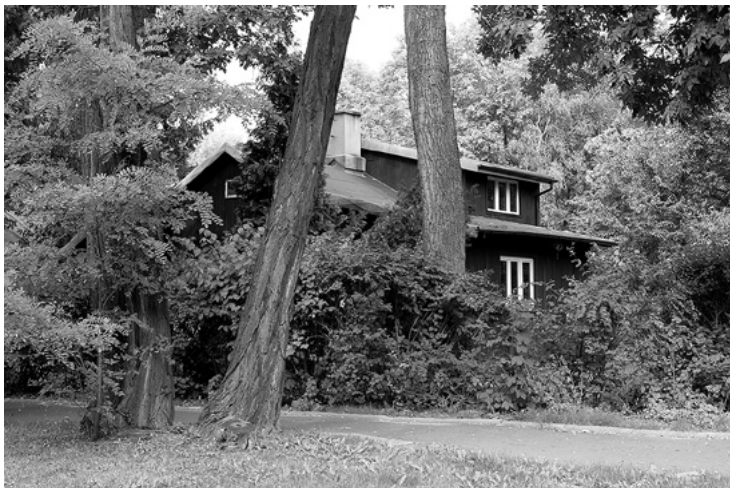
Inną niedogodność mieszkania na osiedlu domków fińskich stanowi konieczność nieustannej pracy. W zimie trzeba: odśnieżać i palić w piecu; na wiosnę – posadzić rośliny, przekopać ogródek; w lecie – zbierać owoce, kosić trawę; na jesieni – grabić liście, przycinać żywopłot. Choć młodszy lokatorzy traktują często te obowiązki jako odpoczynek lub sposób na odetchnięcie od swojej normalnej pracy, osoby starsze przyznają, że przestawały sobie dawać radę z dbaniem o domek i jego otoczenie.

Nawet planowaliśmy, że może byśmy się z kimś zamienili, bo stało się to już upiorne. Spadało coraz więcej obowiązków, które wcześniej nie były obowiązkami, tylko frajdą. Właśnie koszenie trawy, obcinanie żywopłotu, ten śnieg. Przestało to cieszyć

– tłumaczy lokatorka, która wprowadziła się z osiedla w listopadzie 2012 roku. Choć urodziła się w tym domku w 1951 roku i od tamtego czasu w nim mieszkała, a także czuła się niezwykle związana z Jazdowem, to już od kilku lat zastanawiała się z mężem nad wyprowadzką. Trudniej było im bowiem wykonywać wszystkie niezbędne prace.

...na przykład jak teraz się wyprowadzają starsi, to ja im się nie dziwię. Bo tu faktycznie trzeba włożyć dużo pracy, finansów i wysiłku w utrzymanie

– przyznaje ich sąsiadka. Także inni rozmówcy wspominają, że jeśli w przeszłości ktoś wyprowadzał się z osiedla, to były to często właśnie



Fot. Jagna Jaworowska

osoby starsze, które przytłaczał ogrom pracy w domu i w ogrodzie. Jak podsumowała to jedna z najstarszych mieszkanek Jazdowa:

Kochanie, w tych warunkach, w młodym wieku, wszystko jest do zrealizowania, ale nie mając 91 lat skończone.

Walka o ciepło

Najwięcej trudności przysparzało mieszkańcom domków ich ogrzanie, szczególnie w zimie. Oryginalnie domki wyłożone były w środku izolacyjną tekturą, która jednak nie dawała zbyt dużej ochrony przed zimnem. Zamarzały rury, woda w szklankach postawionych na parapecie

zamieniała się w lód, na ścianach potrafił pojawić się szron. Podczas pierwszej zimy 1945/46 roku mieszkańcy opalali kuchnie przede wszystkim drewnem zbieranym z połamanych i poprzewracanych drzew, często zniszczonych jeszcze w trakcie wojny. Później kupowało się węgiel. Jak opowiada jedna z mieszkanek osiedla:

W piecach się paliło węglem, więc przyjeżdżali wozacy i zrzucali parę ton węgla do piwnicy, która jest tutaj, w domku. Właz do piwnicy jest w przedpokoju. Można sobie wyobrazić, jak to wnętrze wyglądało po wrzuceniu paru ton węgla.

Od lat 70. ludzie remontowali systemy ogrzewania i wymieniali piece węglowe na kominki czy konwektory lub chociaż dokupowali wolno stojące grzejniki elektryczne. Ale i to nie gwarantowało takiej samej temperatury w całym domu. Różnica między podłogą a sufitem mogła wynosić nawet 7 stopni. Na wychłodzenie szczególnie narażony był strych i niewielkie pomieszczenia znajdujące się w narożnikach domu.

Akurat nasz domek jest taki, że łazienka jest najbardziej wysunięta do narożnika i tam to ciepło w zasadzie nie dociera. Jak się nie ogrzewa, to temperatura w łazience 1 albo 3 stopnie to standard. Jak temperatury przekraczają minus 15 stopni, to zamarza nam pralka, a jak trwa to dłużej niż trzy dni, to zamarza nam woda pod prysznicem. Wtedy trzeba przez dwie godziny odmrażać rury, polewając je gorącą wodą z czajnika i okładając ręcznikami, żeby to trochę odtajało

– opowiada jedna z rozmówczyń. Jej sąsiadka wspomina, że ona w podobnej sytuacji wzywała sąsiada z lampą lutowniczą. Problem skończył się dopiero wtedy, gdy ociepliła rury styropianem.

Ci, którzy używają zwykłego pieca lub kominka, muszą także pamiętać, by regularnie w nim palić, również w nocy. Jak tłumaczy wnuczka lokatora, która opiekowała się domkiem w zimie pod nieobecność dziadka:

Wyobrażam sobie, że jeżeli więcej osób mieszka – tak jak sąsiedzi mają, gdzie żyją całymi rodzinami, że mieszkają rodzice z dziećmi i ich dzieci, razem 6–7 osób – to jest co innego. Jeżeli funkcjonuje tyle ludzi razem, to gdzieś tam się zawsze znajdzie osoba, która dorzuci do tego kominka, przypilnuje ognia... No, to jest takie wiejskie życie, naprawdę. Funkcjonujesz tak, że w nocy masz nastawiony budzik i musisz dorzucić do kominka, bo jeżeli nie dorzucisz, to i tak się obudzisz – z zimna. Wstajesz rano, pierwsze, co robisz, to grzejesz w kominku, zanim wyjdiesz do pracy. Jak wracasz, to biegniesz, żeby dorzucić, żeby nie zgasło. Zimą to jest po prostu ciągła walka o utrzymanie ciepła.

Osoby, które wyjeżdżają w zimie, nawet jeśli tylko na kilka dni, muszą liczyć się z tym, że po powrocie mogą znaleźć zamrożone kwiatki w doniczkach i minie nawet kilka godzin, zanim domek ogrzeje się na tyle, by można było zdjąć kurtki.

Wieś w środku miasta

Ja nie zapomnę, jak kolega nasz ze Szczecina przyjechał tu pierwszy raz, to jak wjeżdżali na początek Jazdowa, to już słyszałam jego śmiech. Bo po prostu do niego nie mogło dotrzeć, że przed chwilą był na Dworcu Centralnym i raptem wjeżdża na wieś – drewniane domki, miasteczko takie, wieś schowana w centrum miasta

– wspomina wnuczka kopisty z Biura Odbudowy Warszawy.

Pani z rodziny, która wprowadziła się na Jazdów jako ostatnia, śmieje się:

Żeby [te domy] były jeszcze chociaż murowane, ale drewniane!
W środku takiej dużej aglomeracji. Człowiek idzie miastem, które
się śpieszy, gdzie jest tłok, huk. I nagle zatrzymuje się w takim
miejscu. No to się wydaje nieprawdopodobne.

Lokator, który wprowadził się na Jazdów pod koniec lat 80., przyznaje,
że gdy pierwszy raz zobaczył ten teren, trudno było mu uwierzyć, że
ciągle znajduje się w Warszawie:

brakowało tylko gdakania kur właśnie i muczenia krowy w oddali.

Od swego powstania w 1945 roku osiedle domków fińskich na Jazdowie
przeszło wiele zmian. Zmniejszała się liczba domków, które rozbierano
najpierw pod budowę ambasady Francji, potem Trasy Łazienkowskiej
i ambasady Niemiec. Zmieniali się mieszkańcy. Pracowników Biura
Odbudowy Warszawy zastępowały ich dzieci lub *napływowi* (jak okre-
ślała część swoich sąsiadów jedna z pań mieszkających na Jazdowie
od urodzenia). Ogródki grodzono, domki przebudowywano. Drzewka
posadzone przez pierwszych lokatorów zamieniły się w rozłożyste
drzewa. Kominki na drewno czy ogrzewanie elektryczne wyparty piec
na węgiel. Bażanty ustąpiły miejsca kaczkom, a przydomowe kurniki –
kwiatom lub krzewom.

Natura – rozumiana czy to jako fauna i flora, czy pogoda, czy zmiany
pór roku – pozostaje jednak niezmiennie punktem odniesienia, kontek-
stem, wobec którego określają się lokatorzy Jazdowa. Związki z naturą,
w jakie wchodzi mieszkańcy, wywierają wpływ na ich styl życia, współ-
kształtują do pewnego stopnia relacje sąsiedzkie. Na Jazdowie to, co
„społeczne”, i to, co „naturalne”, przenika się wzajemnie.

Jagna Jaworowska (1989) – absolwentka antropologii na Universiteit van Amsterdam. Interesuje się pamięcią i dziedzictwem oraz modą i ubiorem. Wierzy, że nic nie poszerza horyzontów tak jak antropologia. Lubi pisać.

Literatura

Bartoszewicz D.

2012 *Koniec domków fińskich. Za to będzie Aleja na Skarpie*, w: Gazeta Stołeczna, http://warszawa.gazeta.pl/warszawa/1,34862,11059847,Koniec_domkow_finskih__Za_to_będzie_Aleja_na_Skarpie.html [dostęp 10.11.2013]

Bukalska P.

2013 *Sauna na Jazdów*, w: *Tygodnik Powszechny*, <http://tygodnik.onet.pl/kraj/sauna-na-jazdow/yw1b0> [dostęp 10.11.2013]

Hartwig J.

1999 *Domki Fińskie – jedyne na świecie*, w: *Moje Miejsce Magiczne. Przewodnik po Warszawie*, A. Gąsiorowska, W. Fusek (red.), Łódź

Kacperski W.

2012 *Co mają „domki fińskie” do Placu Defilad?*, w: *Kultura Liberalna*, <http://kulturaliberalna.pl/2012/11/27/poniedzialek-z-miasta-kacperski-co-maja-domki-finskie-do-placu-defilad/> [dostęp 10.11.2013]

K.W.K.

1946 *Mieszkam w domku fińskim*, w: *Stolica*, nr 6, s. 2

Solska J.

2011 *Podjazdów*, w: *Polityka*, <http://www.polityka.pl/rynek/gospodarka/1522625,1,kolejne-widmo-rozbiorki-jazdowa.read> [dostęp 10.11.2013]

Wojtczuk M.

2011 *Domki fińskie na Jazdowie: Sentyment kontra prestiż*, w: *Gazeta Stołeczna*, http://warszawa.gazeta.pl/warszawa/1,95194,10779353,Domki_finskie_na_Jazdowie__Sentyment_kontra_prestiz.html [dostęp 10.11.2013]

Ziemięcki A.

1955 *Drzewa na warszawskiej ulicy*, w: *Stolica*, nr 45, s. 15



Zielone lata

Daniel Kunecki

Domki na Jazdowie wybudowano sześćdziesiąt dziewięć lat temu. Ludzie, którzy pamiętają ten czas i mogą dziś o nim opowiedzieć, byli wówczas dziećmi. Przeważająca większość tych, którzy osiedle budowali i tych, którzy zamieszkali na nim tuż po wojnie, dziś już nie żyje. Unikalni świadkowie tego okresu, nasi rozmówcy zapamiętali ten świat oglądany oczami dziecka. Obserwowali, jak powstawało i zmieniało się osiedle – mikroświat, z którym czują się silnie związani. Ta często przywoływana w rozmowach dziecięca perspektywa sprawiła, że postanowiłem opowiedzieć o początkach i przemianach Jazdowa widzianego przez pryzmat dzieciństwa.

Większość czasu najmłodszy mieszkańcy osiedla spędzali na świeżym powietrzu. We wspomnieniach mieszkańców Jazdowa powtarza się informacja, że dzieci nieustannie bawiły się na zewnątrz przede wszystkim ze względu na ciasnotę w domkach.

Ważne było, że dzieci można było wykopać do ogrodu

– mówi wprost jeden z rozmówców.

Topografia dziecięcych zabaw

Na tle powojennej Warszawy teren Jazdowa wydawał się być oazą spokoju i bezpieczeństwa. Od strony Alej Ujazdowskich ograniczony był Parkiem Ujazdowskim, po stronie Wisły zaś urwiskiem Skarpy Warszawskiej. Od południa sąsiadował z gruzami pawilonów dawnego Szpitala Ujazdowskiego, zaś od północy, wzdłuż ulicy Pięknej, na tym odcinku ciągnął się mur. Dodatkowo dostęp na osiedle ograniczała brama i znajdujący się przy niej budynek przedwojennej stróżówki.

Nie było tak, jak jest w tej chwili, tylko był gąszcz. To był po prostu ogromny gąszcz, krzaki, mnóstwo brzoź, mnóstwo różnych krzaków. I tam stały, jak mówię, te budynki i dopiero była skarpa. Tam, gdzie teraz jest Trasa Łazienkowska, mniej więcej na lewo, były korty tenisowe i różne takie rzeczy. Były tam ślizgawki, ale nie było żadnych parków, ani niczego takiego, tylko absolutnie wszędzie była dzicz

– opisuje przestrzeń osiedla z lat 40. rozmówczyni, która wówczas była dzieckiem.



Na tyłach jednego z domków, 1965 rok. Źródło: archiwum rodziny Baumillerów

Przestrzeń jazdowskiej kolonii domków fińskich jest szczególna. Z jednej strony może wydawać się zamknięta, nienaturalnie „wklejona” w tkanę miasta, w pewien sposób ograniczająca. Z drugiej jednak strony daje mieszkańcom poczucie bezpieczeństwa, ładu i zarazem ogromnej swobody. W kontekście powojennych dziecięcych zabaw na Jazdowie warto przywołać teorię Johana Huizingi i to, co badacz ten miał do powiedzenia na temat znaczenia przestrzeni dla każdej gry i zabawy.

W ujęciu Huizingi zabawa rozgrywa się w obrębie miejsca i terenu, który uprzednio wytyczony został w sposób materialny czy tylko idealny, umyślnie bądź też jakby sam przez się. Teren, na którym rozgrywają się dziecięce zabawy, w sposób oczywisty wpływa na ich kształt. Otoczenie może nakładać pewne ograniczenia, ale także inspirować, dawać poczucie niczym nieskrępowanej wolności.

Postanowiłem przyrzeć się, czy specyfika przestrzenna osiedla domków fińskich, stworzonego wśród ruin powojennej Warszawy, znalazła odzwierciedlenie w treści i formie zabaw dziecięcych.

Bezpośrednią inspiracją do tego, aby opowiedzieć o Jazdowie przez pryzmat dziecięcych zabaw, było dla mnie spotkanie z reżyserem Mariannem Marzyńskim, który osiedle domków fińskich opuścił, wyjeżdżając z Polski w 1968 roku. Czterdzieści cztery lata później spotkałem się z nim, by porozmawiać o Jazdowie. Naszą wspólną podróż w czasie i przestrzeni rozpoczęliśmy u zbiegu ulic Jazdów i Pięknej. Opowiadając o dwudziestu czterech latach życia spędzonych tutaj, często i chętnie wracał do wspomnień z dzieciństwa.

Pamiętam chłopców, z którymi się bawiłem

– powiedział z nostalgią. O dawnych kolegów sprzed ponad sześćdziesięciu lat wypytywał każdego z napotkanych mieszkańców Jazdowa.

Ludzie jak ptaki

Jaka była ta przestrzeń, w której w 1945 roku znów można było usłyszeć odgłosy dziecięcych zabaw? Nie musimy sobie wyobrażać, jak wyglądało wyludnione i zburzone miasto. Poczerniałe pudła domów bez dachu, nagie i połamane konary drzew, zalegający gruz, który skutecznie utrudniał wędrówkę pośród ruin. Taki krajobraz stolicy zobaczymy na każdym zdjęciu z 1945 roku i kilku następnych lat.

Na fotografiach nie widać wszystkiego. Obiektyw aparatu pominie myszy, szczury i polujące na nie drapieżne ptaki, nie odda fetoru rozkładających się ciał czy zapachu powietrza przesiąkniętego spalenizną.

Ludzie i ptaki powoli powracali do zburzonego miasta. Wielu warszawiaków nie odnalazło już swoich dawnych domów, także ptaki nie zastały swoich gniazd. Patrząc na nie, ornitolog notował: „jedną z najbardziej widocznych zmian w awifaunie, spowodowanych wojną i zagładą miasta, był zanik gołębi miejskich, podobnie było też i z wróblami, które jeszcze bardziej niż gołębie związane są z człowiekiem. Ruiny służyły im za miejsca lęgowe, a otwarte przestrzenie gruzowisk za tereny polowań na rozmnożone licznie gryzonie”. Ludzie też gnieździli się w ruinach. Musieli tam spać i jeść. Dla wielu praca przy odgruzowywaniu była jedynym źródłem dochodu. Wychowywali w tych warunkach dzieci, dla których ruiny były często placem zabaw. Również pierwsi mieszkańcy Jazdowa zamieszkali na dobrą sprawę na gruzowisku.

Nowe gniazdo

Syn dyrektora budowy domków fińskich – Daniela Marzyńskiego – w czasie spaceru po Jazdowie wspomina:

To jest miejsce, do którego ja przyjechałem. Mamy styczeń 1945 roku, tego wszystkiego [domków na Jazdowie, szkoły na rogu Wiejskiej i Górnośląskiej] nie ma, ambasady nie ma. A na tyłach tego domu, na miejscu tego domu stoją takie czerwone pawilony Szpitala Ujazdowskiego. To była jedna wielka ruina zbombardowanego Szpitala Ujazdowskiego, który składał się z najrozmaitszych pawilonów i myśmy [zamieszkali] w jednym z tych pawilonów, takich baraków, mała grupka ludzi, która była przysłana tu z BOS-u, którego Józef Sygalin, major Sygalin, był szefem, do tego żeby budować domki fińskie.

Szpital Ujazdowski jeszcze w czasie drugiej wojny światowej składał się z dwudziestu pięciu pawilonów z czerwonej cegły. Zabudowania ciągnęły się od ulicy Pięknej na północy do dzisiejszej ulicy Agrykola na południu. Budynki stały również w miejscu dzisiejszej Trasy Łazienkowskiej. Do czasu jej budowy w 1968 roku było to porośnięte akacjami gruzowisko. Ruiny szpitala, o których mowa, oraz ruiny Zamku Ujazdowskiego stały się w latach powojennych nieodłącznym elementem krajobrazu Jazdowa.

Ze względu na skalę zniszczeń wojennych sprawa odbudowy Warszawy była dyskusyjna. Rozważano przeniesienie stolicy do innych miast: Łodzi, Krakowa, Lublina. Decyzja o odbudowie Warszawy zapadła na cztery miesiące przed zmontowaniem pierwszych domków fińskich na Jazdowie.

Ówczesny premier Edward Osóbka-Morawski¹ wspominał, że wahania w sprawie stołeczności Warszawy wynikały z konfrontacji ze stanem zniszczeń. Istotną rolę w powzięciu decyzji odegrało też stanowisko Józefa Stalina w czasie pobytu polskiej delegacji w Moskwie w drugiej połowie stycznia 1945 roku.

Domki fińskie na Jazdowie (ówczesny adres Górnośląska 45), Polach Mokotowskich i przy ul. Szwoleżerów były pierwszym darem Związku Radzieckiego dla Polski. Drugim był Pałac Kultury i Nauki. Finlandia, która w czasie wojny opowiedziała się po stronie faszystowskich Niemiec, w ramach nałożonych reparacji wojennych wysyłała domki Rosjanom. W ten sposób pierwsza partia dziewięćdziesięciu domków fińskich znalazła się na Jazdowie już w kwietniu 1945 roku. Do dziś na belkach wielu domków zobaczyć można zapisane cyrylicą słowo „Reparacje”.

Marian Marzyński był jednym z pierwszych mieszkańców Jazdowa. Ze względu na pracę ojca zamieszkał na tym terenie jeszcze przed

1 Od 31 grudnia 1944 do 28 czerwca 1945 premier Rządu Tymczasowego, a następnie do 5 lutego 1947 premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

zmontowaniem domków, w budynku dawnego oddziału psychiatrycznego Szpitala Ujazdowskiego. Wspominając powojenny okres swojego dzieciństwa, mówi:

Mam w głowie obrazy, których nikt nie ma. Bo to są obrazy z 1945 roku. Więc [już] w 1945 roku to się nazywało domki fińskie, ale nikt nie wiedział dlaczego i o co chodzi. Bo cały teren był upszczone ciężarówkami armii sowieckiej z żołnierzami rosyjskimi, którzy przywozili te domki z dworca gdańskiego (...) i składali tutaj. I to jest ten dar dla Warszawy, pierwszy, od Związku Radzieckiego. To przyszło nie od Finów, od Rosji. To były reparacje wojenne dla Rosji i oni to przekazali narodowi polskiemu od przyjaciół.

Domek ciasny, ale własny

Ogromny głód mieszkań to problem, z którym stolica długo nie mogła się uporać. Nie uporała się właściwie przez cały okres PRL. W tej sytuacji zdarzało się, że rodzice decydowali, by dzieci tymczasowo (czasem przez okres kilku lat) mieszkaly poza Warszawą, np. u rodziny czy u przyjaciół w jednej z podwarszawskich miejscowości. Jeden z mieszkańców opisuje powojenną sytuację mieszkaniową swojej rodziny w następujący sposób:

Ojciec wrócił, jak wyszedł z pierdła, chyba w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. W ubecji cały czas na Koszykowej siedział, w piwnicy. Nie wiem, kiedy mama wróciła. Ja do [pójścia] do szkoły, do wieku siedmiu lat mieszkalem w Podkowie Leśnej. To była niby moja ciotka, ale kompletnie przyszywana, przyjaciółka mamy. A mama już była w Warszawie, mieszkala u swojego ojca, który miał mieszkanie przedwojenne na ulicy Akacjowej. I tam cała

rodzina ze strony mamy się stłoczyła. Zamieszkałem tam dopiero, jak poszedłem do szkoły.

Problem braku mieszkań w Warszawie narastał. Mieszkańcy domków frńskich byli na tym tle szczęściarzami, ponieważ mieli własny kąt, choć ich też nie ominęły trudne warunki mieszkaniowe. Jak wspomina wnuczka zajmującego się w BOS miejską zielenią prof. Gorczyńskiego, jej dziadkowie, chcąc mieć dzieci przy sobie na Jazdowie, byli zmuszeni pogodzić się z ciasnotą. Na co dzień wyglądało to mniej więcej tak:

W tym domu [ok. 60 metrów kwadratowych] było dziewięć osób. Byli dziadkowie, było sześcioro dzieci i opiekunka, a właściwie gosposia. I czasem jeszcze ktoś, jak przyjechał z rodziny. Oboje dziadkowie pracowali naukowo. Miejsca na łóżka nie było. Łóżka



Źródło: archiwum rodziny Szczerbińskich

były rozstawiane na noc. Składane łóżka – połówki i na dzień były z powrotem składane, żeby dało się przejść przez domek. Nie było prysznicza. Była tylko toaleta plus zimna woda w kuchni. Natomiast jako łazienka była jedna wspólna łaźnia w dawnym budynku kostnicy.

Igraszki

Wszelkie trudy i radości związane ze wspólnym zamieszkiwaniem znajdowały swe odzwierciedlenie w codziennych zabawach dziecięcych. Atrakcją stanowiło choćby wspólne wyjście do łaźni, a przestrzeń pełna ruin i zarośli szczególnie pobudzała dziecięcą fantazję.

Myśmy rozmaite rzeczy robili

– opowiada dalej Marzyński –

To zresztą ja w blogu piszę². Pchaliśmy takie wielkie rury kanalizacyjne, do których pary chodziły się pieprzyć do środka, bo nie było mieszkań w Warszawie. I myśmy przychodzili i żeśmy to pomału pchali. A to było tak cholernie ciężkie, że oczywiście zapchać tego nie można było za daleko, więc uciekaliśmy oczywiście wtedy. Albo też czekaliśmy na nich na tym gruzowisku, bo to ruiny były przez lata. Tylko na to czekaliśmy, żeby przyszła jakaś para pieprzyć się znowu. I jak zdejmowali spodnie, to myśmy czekali tylko, żeby coś tam było, na ogół to się długo czekało, niewiele się widziało, ale to był nasz cel w każdym razie.

2 <http://blogi.newsweek.pl/Tekst/naluzie/540331,Domek-finski.html>.

Zabawy z bronią

Uczeni, próbując wyjaśnić pochodzenie i sens zabawy, mówią o niewinnym rozładowaniu szkodliwych popędów, o potrzebie odprężenia, konieczności wyzbywania się nadmiaru siły żywotnej czy o realizowaniu niedających się zrealizować pragnień przy pomocy fikcji.

Dzieci i młodzież tamtej epoki to, jak się wyraził mieszkający przy ul. Jazdów Krzysztof Baumiller, ludzie, którzy

byli obcy z życiem od tej gorszej strony.

Czymś naturalnym wydaje się to, że doświadczenie wojny było obecne w każdej niemal zabawie.

myśmy mieli bunkier i w bunkrze chowaliśmy się przed nalotami, fikcyjnymi oczywiście.

Również Marian Marzyński, który w 1945 roku był dziewięcioletnim chłopcem, wspomina:

Franek Mleczek, który był synem pułkownika UB lub wojska, miał w 1945 roku pistolet ósemkę. Mój ojciec też miał pistolet, ale w życiu go nie użył, nie miał nawet amunicji. Miał taką piątkę, ponieważ on był oficerem wojska polskiego i w ołtagu przeżył wojnę, to jakoś mu dali. A ci towarzysze partyjni mieli tę broń dlatego, że na wypadek, gdyby w 1947 roku w sprawie, w czasie głosowania 3xTAK elementy reakcyjne chciały wyjść na ulicę i nie chciały zagłosować tak jak trzeba, to na wszelki wypadek towarzysze mieli. W międzyczasie ta broń nie miała żadnego użytku. Franek, który był starszy ode mnie, wyjmował tę broń i myśmy szli na Zamek Księżąt Mazowieckich³ i tam strzelaliśmy. Myśmy

3 Obecnie Zamek Ujazdowski.

z prawdziwej broni strzelali. Ja nigdy nie strzeliłem, chociaż raz mnie zmusili, żebym z tapczanu wyjął tę piątkę ojca, ale byłem tak tym przestraszony, że w ogóle nic z tym nie zrobiłem, bo nie było amunicji. Natomiast oni strzelali, ci starsi. Mnie kazali strzelać, ja odmówiłem. Powiedziałem, że ja nie będę strzelał do jakiegoś tam szkła, do butelek.

Oczywiście nie wszyscy współtowarzysze dziecięcych zabaw byli równie atrakcyjnymi partnerami. Mogło to wynikać z różnicy wieku, z różnicy temperamentów. Jeden z rozmówców wspominał:

Myśmy byli dosyć łobuzerscy. No, Andrzej Funkiewicz, który już nie żyje, Rudy tak zwany, rudy-Rudy, wiadomo. Za rudego, jak ktoś mu powiedział „Rudy!”, dostawał od razu w mordę

Inny z kolei opowiadał, że czasem mogło to wynikać nawet z pobudek politycznych:

Fioła miał kompletnie

– mówił o pewnym koledze –

myśmy się bawili z nim, on był starszy chłopak, ale on na inny temat nie mógł mówić, tylko na temat socjalizmu.

Babiora

Wbrew temu, co było ogólnie przyjęte, jazdowskich dzieci raczej nie posyłano po zakupy. Głównie z tego powodu, że w bezpośrednim sąsiedztwie osiedla domków fińskich nie było żadnych sklepów. Przerwy w zabawie powodowane koniecznością pomocy rodzicom przy sprawunkach

zdarzały się niezwykle rzadko. W wyjątkowych sytuacjach dzieciaki chodziły po warzywa i owoce do staruszki, która prowadziła stragan. Mieszkaniec pierwszej kolonii tak opisuje te niecodzienne sytuacje:

Tutaj [obecnie teren ambasady francuskiej] był przez lata całe stragan z kobietą, którą my nazywaliśmy albo Babiorą, albo prywaciarą. Znaczący mój ojciec uważał, że u prywaciarzy nie należy kupować. Pani Babiora [sprzedawała] warzywa i owoce, na ogół nieświeże. Jak również wszystkie inne rzeczy, według mojego ojca rzeczywiście po cenach spekulacyjnych, ponieważ nigdy tu nie było sklepów żadnych. Więc ona była jedna. Niestety ona nie umiała znaleźć atrakcyjnych towarów, albo ich w ogóle nie było, także oczywiście z punktu widzenia mojego ojca, który wierzył, że socjalistyczny handel to jest właściwy handel, natomiast prywatny to jest nadużycie, to ona była spekulantką. I u niej się w zasadzie nie kupowało, ale już jak nie było czegoś w domu i trzeba było koniecznie, to wtedy się kupowało u Babiora rzeczy, które były nienajlepszej jakości i za drogie.

Specyficzny stosunek do tzw. prywatnej inicjatywy, przekazywany dzieciom przez rodziców, sprawił, że w oczach niektórych dzieci starsza kobieta prowadząca stragan zdawała się być bezwzględna i pazerną wiedźmą.

Gry uliczne

Teren osiedla – jego ukształtowanie, zakrzaczenie, punkty topograficzne – miał wpływ na życie dzieci i zabawy, które prowadziły. Po dzień funkcjonuje na Jazdowie przedszkole i szkoła podstawowa, przed

rozpoczęciem budowy ambasady francuskiej w 1967 roku na jej obecnym terenie była świetlica. Osiedle nie było przecięte żadną ruchliwą ulicą. Dawato to dzieciom możliwość swobodnego poruszania się. Kilkoro rozmówców opowiadało, że dzieci nie odprowadzało się do szkoły, bo nie było takiej potrzeby. Ponoć nawet starszaki biegały do przedszkola same. Generalnie dzieci na Jazdowie czuły się bezpiecznie. Było jednak jedno takie miejsce, którego niektórzy się obawiali:

Chyba do pięćdziesiątego drugiego roku, o ile pamiętam, ja się potwornie bałam tego. Bo tutaj przecież był cmentarz. Normalny cmentarz, z grobami żołnierzy. Więc wracanie wieczorem dla takiego dziecka, jak ja byłam, nie było przyjemne

– wspomina rozmówczyni wychowana na osiedlu na przelomie lat 40. i 50. Czego bały się dzieciaki z domków fińskich?

No, duchów, oczywiście. Oczywiście, że się baliśmy.

Mijały kolejne lata. Świat dziecięcych zabaw nadal rozgrywał się między domkami bez względu na pogodę czy porę roku. Mieszkanka jednego z domków opowiada historię, która daje wyobrażenie o tym, jak czuły się dzieci w przestrzeni osiedla:

ja przechodziłam kiedyś przez Jazdów i straż miejska złapała mnie: „proszę pani, przechodzi pani nie przez pasy, tylko tak”. Ja mówię: „proszę pana, ja tutaj mieszkam sześćdziesiąt trzy czy ileś tam lat. I ja tu się bawiłam, moje dzieci bawiły się w piłkę, bawiły się tam w różne rzeczy, w klasy. Na ulicy Jazdów. Dla mnie to nie jest ulica, tylko to jest plac zabaw”. No i oni zaczęli się śmiać i puścili mnie. No bo tak było, no.

W latach 60. chłopcy nadal bawili się w wojnę (ponoć łatwiej było o chętnego do bycia hitlerowcem niż ruskim) i strzelali.



Źródło: archiwum rodziny Szczerbińskich

Źeśmy mieli taką fajną zabawę, że się wrzucało do jednego takiego kanału worek karbidu, zatykało klapę i po pewnym czasie podpałało. I jak to zaczęło wybuchać, to wszystkie te klapy na całym terenie wylatywały w powietrze. Ale to takie zabawy normalnych chłopaków, co po wojnie byli obcy z granatami i różnymi niewypałami. To z różnych rzeczy się strzelało. Z klucza się strzelało i to były nawet małe moździerz. To był okrągły kawałek metalu, w którym był wywiercony otwór, i do tego tłuczek, i jak się tym walnęło o ścianę, to był łomot taki, że o rany. To był zwyczajny klucz od mieszkania, z dziurką, i gwóźdź, który pasował do tego. Tam się naskrobało trochę siarki z zapalek i jak się stuknęło w ścianę, czy coś tam, klucz i gwóźdź były przywiązane do sznurowadła i to się tak robiło: „puk”, i było: „BUM”!

– relacjonuje Krzysztof Baumiller i dodaje:

tam gdzie jest szkoła w tej chwili, ta Tysiąclątka, były jakieś garaże, składy itd. To było fantastyczne miejsce dla nas, dla chłopaków, do biegania po dachu, bo to z góry się patrzyło na Piękną i początek Górnośląskiej. Na tym dachu żeśmy siedzieli, palili papierosy i tak się zabawiali.

Boso po trawie

Najwięcej działa się latem. Można na przykład było kąpać się w basenie przeciwpożarowym, co również wspomina pan Krzysztof:

Były dwa baseny takie wybudowane. I one były dosyć duże, to były takie okręgi. Dwa były przy ulicy. Jeden stał tam, gdzie obecnie jest ambasada niemiecka. A drugi prawie na końcu tej uliczki. I to były zbiorniki na wodę przeciwpożarową. Pożarowe. Ten jeden był pęknięty. Ten drugi nie, i myśmy w tym drugim się kąpali tam. Zimna woda jak jasna cholera była zawsze. Myśmy się tam w nim kąpali, potem on zaczął się zasypywać tam jakimś śmieciem i w końcu zniknął.

Mieszkanka jednego z domków wspomnienia letnich zabaw z okresu dzieciństwa przywołuje w ten sposób:

Zawsze się latało po ogrodzie. Za moich czasów dziecińczych to były zwalone pnie topoli na trawniku przed domem. Tam się chodziło dokoła nich, coś się robiło. Krzywe drzewo było z tyłu, na które można było wejść. To był klon. Takie kloniszczce. A u nas jeszcze przed domem rosła wierzba. Prawie taka jak stół. No i się na wierzbę też próbowało włązić. Dzieci wszystkie, cała moja rodzina to wchodziła na to i siedziała, żeśmy latali tutaj wszyscy wszędzie. Były pszczoły i chodziło się do pana Lipowca po miód. Były owoce, bo dużo drzew owocowych było. Poziomki były w dużych ilościach. Chodziło się na poziomki. W ogóle to była taka tajemnicza zielona dżungla. Były takie ogromne leszczyny z tyłu domu i tam się zbierało orzechy laskowe. Raz zaskrońca złapałiśmy.

Zima była dla dzieci okresem szaleństw na śniegu, większość wolnego czasu, podobnie jak w innych porach roku spędzały na dworze.

W tym kontekście czymś nie do przecenienia był fakt położenia osiedla na skarpie. Mieszkaniec związany z Jazdowem od początku do dziś tak wspomina zimowe zabawy:

Dla mnie, w czasach kiedy byłem takim tam młodzieńcem czy takim starszym dzieckiem, to tutaj było wspaniale zimą dlatego, że cała ta skarpa to była górka do zjeżdżania na sankach, na nartach. Na dole było lodowisko, no więc w tym względzie to były olbrzymie zalety. Teraz troszeczkę młodzież się czym innym zajmuje. Nie chodzą na narty, tylko siedzą przy komputerze, więc to też trochę inaczej się odbiera.

Na terenie Ujazdowa Skarpa Warszawska jest najwyższa. Dlatego mieszkanie w tym miejscu pozwalało dzieciom korzystać z uroków zimy bez konieczności podejmowania dalszych wycieczek. Co ciekawe, te same osoby, które pamiętają zimy z dzieciństwa jako czas beztrudnych zabaw, opowiadając o zimie z perspektywy dorosłego, mówią, że to najtrudniejsza pora roku na osiedlu ze względu na noszenie węgla lub wysokie rachunki za ogrzewanie elektryczne.

Przez ogródek idzie sobie krasnoludek

Nieskrępowanym zabawom z pewnością sprzyjał brak ogrodzeń pomiędzy domkami. W latach 80. już praktycznie każdy domek miał jakiś płotek czy siatkę. Wtedy to spontaniczne „rajdy” po najbliższej okolicy, pozbawione bacznej kontroli ze strony dorosłych, raczej nie znajdowały już takiego zrozumienia jak w poprzednich dekadach. Rozmówczyni, która miała w tym czasie małe dzieci, wspomina, że:

zawsze te dzieciaki uciekały do parku. Jak nie było dzieci naszych, dzieci zginęły, to dzieci na kamieniach w parku tutaj ujazdowskim były. Tam były takie kamienie i woda, i one tam pasjami chodziły. Nie było to bezpieczne, więc żeśmy im tam kiedyś zapowiedzieli, że jeżeli ich tam jeszcze raz złapiemy, to dostaną w tyłek.

Życie na Jazdowie w pewnym momencie straciło dawny pazur, jakby trochę zwolniło. Dzieci było już znacznie mniej niż w latach powojennych czy nawet na przełomie lat 60. i 70. Dawne dziecięce zabawy, niekontrolowane przez dorosłych, miały często charakter przygody, rozgrywały się na terenie całego osiedla lub nawet dalej. Z czasem przeniosły się do przydomowych ogródków, gdzie bawiono się już pod okiem rodziców.

Także te dzieciaki tutaj wszystkie się razem bawiły po ogródkach, po domkach siedziały. Raz tu raz tam. U jednej, u drugiej, u trzeciej sąsiadki. Oczywiście były różne baseny, więc te dzieciaki siedziały przy słonecznej pogodzie na okrągło, w basenie chlapały się. No rzeczywiście raj tutaj miały. Gumy, klasy i takie rzeczy to Kasia jeszcze pamięta. Dzisiaj dzieci to chyba niewiele takich zabaw mają. Jakieś podchody, takie rzeczy, no to też tutaj latały prawda. Więc one tutaj miały takie prawdziwe dzieciństwo

– wspomina jedna z jazdowianek.

Fundament

Zawiązane we wczesnych latach przyjaźnie odnajdywano później w życiu dorosłym. Wiele spośród osiedlowych dzieci nie wyprowadziło się z Jazdowa i założyło tutaj swoje rodziny. Wspólnie witano nowy rok, celebrowano „jajeczka” i „śledziki”, bawiono się na organizowanych tutaj weselach, ale



Źródło: archiwum rodziny Szczerbińskich

też dzielono się troskami. Setki godzin spędzonych na wspólnej zabawie stały się solidnym fundamentem dla relacji opartych na wzajemnym poszanowaniu, otwartości i gotowości niesienia sobie nawzajem pomocy.

Osiedle Jazdów zawsze było specyficzne na tle Śródmieścia. Po wojnie była tu większa przestrzeń do zabawy niż w innych częściach dzielnicy. Mimo że przez ponad dwadzieścia lat placem zabaw pozostawały gruzy Szpitala Ujazdowskiego, to jednak było to miejsce co najmniej równie bezpieczne jak typowe, tętniące życiem podwórka warszawskich kamienic. Zielone otoczenie osiedla domków fińskich na Jazdowie w każdym czasie miało decydujący wpływ na atrakcyjność dziecięcych zabaw. Specyfika miejsca zawsze wpływa na formy zabawy. Bo jeśli chodzi o treść, to każda zabawa wydaje się wyjątkowa, jest podróżą ku naszym pragnieniom, zmaganiem z własnymi słabościami, niewinnym eksperymentem.

Daniel Kunecki (1978) – absolwent Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, związany Stowarzyszeniem Pracownia Etnograficzna. Koordynator i pomysłodawca projektu „Domki fińskie – pamięć osobista, historia, współczesność”. Lubi koty.

Literatura

Górski J.

1976 *Drugie narodziny miasta. Warszawa 1945*, Warszawa

Huizinga J.

1985 *Homo Ludens. Zabawa jako źródło kultury*, Warszawa

Lutniak M.

1973 *Ptaki na gruzach Warszawy*, Przekrój, nr 1478

<http://blogi.newsweek.pl/Tekst/naluzie/540331,Domek-finski.html>

Warszawskie audioprzewodniki

miejskasciezka.pl

Jeśli chcesz spojrzeć na Warszawę z etnograficznej perspektywy, idź na spacer z naszymi audioprzewodnikami.



Audioprzewodnik, czyli krótki, dźwiękowy opis oglądanych przez zwiedzającego przedmiotów i elementów, stosowany jest w muzeach całego świata. My postanowiliśmy wyjść z audioprzewodnikami w przestrzeń Warszawy. Nasze audioprzewodniki powstają według filozofii: **ściągnij i idź**. Wystarczy pobrać ze strony jeden bezpłatny plik mp3, który zawiera wszystkie niezbędne informacje, aby wyruszyć na poznawanie miasta.